Piekło przyszło z nieba | Proces brzeski, czyli sąd nad opozycją

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych ISSN 0867-8952
NR 10(430) PADZIERNIK 2026



Z ARCHIWÓW środkowoazjatyckich

www.dokumentyzazji.pl

KOMBATANT
BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952
nr 10(430)
październik 2026

dołącz do nas na Facebooku i na X
www.facebook.pl/udskior
https://x.com/Kombatanci?mx=2

Redakcja:
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:
Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta"
dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl

Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:
Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 **Tajemnica utrzymywana przez tysiące...**
Deportacje w relacjach Sybiraków często zaczynają się od natarczywego łomotania do drzwi i krzyku: „Otwierać!". Rozmowa z prof. Albinem Głowackim z Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, autorem książki „W tajdze i w stepie. O deportacjach obywateli polskich w głąb Związku Sowieckiego w latach 1940–1941"
Katarzyna Krzykowska

8 **Ocalić pamięć**
Wojna odebrała im domy, rodziny i dzieciństwo. Zostali wyrwani z rodzinnych Kresów, wywiezieni w głąb Związku Sowieckiego, skazani na głód, mróz, choroby i niewolniczą pracę. Ci, którzy ocaleli, nieśli w sobie traumę przez całe życie
Katarzyna Zientara-Majewski

12 **Z archiwów środkowoazjatyckich**
Latem 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej polscy deportowani i łagiernicy zyskali wolność. Gdy pojawiła się możliwość, żeby stamtąd uciec, większość wybrała kierunek południowy, tam powinno być ciepło i całkiem inaczej…
Marcin Zwolski

14 **Proces brzeski, czyli polityczny sąd nad opozycją**
Przygotowanie zamachu – pod takim zarzutem w 1930 r. aresztowano przywódców opozycji, gdy władze sanacyjne z Józefem Piłsudskim na czele postanowiły wytoczyć proces karny politykom, którzy domagali się demokratycznych rządów parlamentarnych
Norbert Nowotnik

18 **Piekło przyszło z nieba**
Wystarczył jeden dzień, aby ponad 400 samolotów Luftwaffe, w serii nalotów dywanowych, dokonało zagłady Warszawy i tysięcy jej mieszkańców. Świadkowie tych dramatycznych chwil nie mieli wątpliwości: to była istna apokalipsa
Waldemar Kowalski

22 **Mjr Władysław Dąbrowski świętował 102-lecie urodzin**
Szczególnie ważne są spotkania z młodymi ludźmi, którzy mają możliwość wysłuchania człowieka, który był uczestnikiem wydarzeń zapisanych na kartach historii

23 **Grono Młodzieży Niezależnej, czyli nie tylko„Precz z komuną"**
Dla tej młodzieży schyłek rządów Jaruzelskiego był czasem kształtującym postawy i sposób odczytywania świata. Wymiana opinii, kształtowanie poglądów na różnorodne tematy, poczucie wspólnoty i poszukiwanie celu miały swoją wartość
Beno Benczew

28 **Okupacja Hali Gwardii**
Głównymi celami tworzonego związku miały być: „przestrzeganie praworządności w interesie ludu pracującego", ochrona godności i „kształtowanie właściwych postaw moralnych" funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej
Grzegorz Majchrzak

31 **Biblioteka SZEFA URZĘDU**

Okładka: Pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, fragment FOT. HS

FOT. HS



Tajemnica utrzymywana przez tysiące...

Utrzymanie w tajemnicy przygotowań do masowych wywózek trzeba uznać za ważkie dokonanie. W ich przeprowadzenie były zaangażowane dziesiątki tysięcy ludzi – najwięcej na najniższym szczeblu, czyli bezpośrednio na terenach, gdzie zamieszkiwały osoby skazane na wywózkę – przypomina prof. Albin Głowacki z Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, autor książki „W tajdze i w stepie. O deportacjach obywateli polskich w głąb Związku Sowieckiego w latach 1940–1941".

prof. Albin Głowacki
FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Deportacje w relacjach Sybiraków często zaczynają się od natarczywego łomotania do drzwi i krzyku: „Otwierać!". Tymczasem to był koniec wielomiesięcznego procesu przygotowań. W książce „W tajdze i w stepie" opisuje pan deportacje jako precyzyjnie zaplanowaną akcję logistyczną. Na czym polegał fenomen tej sowieckiej „machiny zbrodni" i jak to możliwe, że udawało się utrzymać wywózki w ścisłej tajemnicy?

Tamte masowe wywózki w głąb ZSRR dotknęły w latach 1940–1941 obywateli polskich zamieszkujących wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej Polskiej – po ich zaanektowaniu przez Sowietów. Miały na celu „oczyszczenie" terenu z „antyradzieckich i społecznie niebezpiecznych elementów", które to mogłyby utrudnić trwałe zainstalowanie władzy komunistycznej.

Podówczas stalinowski aparat represji posiadał już bardzo duże doświadczenie w przeprowadzaniu tego rodzaju akcji. Wystarczy przypomnieć okres przyspieszonej kolektywizacji

rolnictwa w ZSRR (1930–1934) oraz lata „Wielkiego Terroru" (1937–1938), kiedy to siłami resortu spraw wewnętrznych, w tym NKWD, m.in. przesiedlono rzesze przeciwników polityki stalinowskiego reżimu – „kułaków", „wrogów ludu", „niepewnych politycznie" itp.

Utrzymanie w tajemnicy rozległych przygotowań do masowych wywózek trzeba uznać za ważkie dokonanie. Przecież w ich przeprowadzenie były zaangażowane dziesiątki tysięcy ludzi – najwięcej na najniższym szczeblu, czyli bezpośrednio na terenach, gdzie zamieszkiwały osoby skazane na wywózkę. W przygotowaniu i nadzorowaniu akcji kierownicza rola przypadła funkcjonariuszom partii komunistycznej, aparatu represji oraz przedstawicielom władz wykonawczych. Ogromnego wsparcia kadrowego udzielił im „aktyw" wiejski. O ile proces decyzyjny na szczeblach centralnym, republikańskim i obwodowym odbywał się w wąskim gronie i w trybie tajnym, co praktycznie uniemożliwiało przedostanie się stamtąd informacji do osób postronnych, to w przypadku realizatorów wysiedlenia w poszczególnych wsiach takie niebezpieczeństwo było już realne. Wcześniejsze ujawnienie przez nich planów akcji deportacyjnej mogłoby skłonić zagrożonych nią ludzi do ucieczki, ukrycia się gdzieś bądź do przeciwstawienia się oprawcom, czyli do zamieszek, zbiorowego buntu, a nawet do starć zbrojnych.

A takich niebezpiecznych incydentów organizatorzy chcieli uniknąć za wszelką cenę. Oto bowiem woźnica czy szofer bądź „aktywista" wiejski, których zadanie polegało na przetransportowaniu do stacji załadunkowej konkretnych rodzin, mógł przecież dyskretnie ostrzec zagrożonego sąsiada, znajomego czy krewnego o tym, co go wkrótce może spotkać. Właśnie dlatego zarówno termin wywózki, jeden dla całego obszaru, jak i wykazy osób deportowanych były ściśle tajne do ostatniego dnia. Dla powodzenia tej akcji bardzo ważny był przecież element zaskoczenia, czyli również i jej pora – oprawcy zjawiali się u drzwi deportowanych o świcie, kiedy ci jeszcze spali i niczego złego nie spodziewali się. A furmanów i kierowców zwoływano na wieczór poprzedzający wywózkę na zebranie w lokalu rejonowym. Tam wysłuchiwali... pogadanek politycznych i prasówek. Kiedy już nadchodziła pora rozpoczęcia akcji, wreszcie dowiadywali się o prawdziwym celu spotkania. Po otrzymaniu zadań i instrukcji wykonawczych niezwłocznie wyruszali na wyznaczone miejsce akcji.

Osoby, które dowodziły operacją w poszczególnych rejonach, docierały tam ze wschodnich obwodów na kilka dni wcześniej, by zapoznać się z przygotowaną dokumentacją i terenem. Były dyskretnie rozlokowane i uprzedzone, aby nie wałęsać się, gdyż wzbudzałyby zainteresowanie miejscowych i podejrzenia co do celu ich przybycia.

Wspomnieć też trzeba, że wśród realizatorów wywózek były i inne, oprócz NKWD, resorty: komunikacji – zobligowany do podstawienia w jednym terminie kilku tysięcy specjalnie urządzonych wagonów na konkretne stacje odprawy zesłańców; ochrony zdrowia – miał zapewnić leki i personel medyczny; handlu – odpowiadający za wyżywienie na trasie przejazdu deportowanych. Trudno było ukryć transporty z kilkudziesięcioma wagonami, które – po odpowiednim wyposażeniu na odleglejszych stacjach – podstawiano na bocznice kolejowe w miejscach załadunku deportowanych na kilka dni przed terminem wywózki.

Strach przed surowymi konsekwencjami ujawnienia osobom postronnym planów deportacyjnych skutecznie blokował upowszechnianie takich informacji przez tych, którzy byli zaangażowani w przeprowadzenie akcji.



Grupa robotników, w tym zesłańców, ze strażnikami, ZSRS, posiołek Teja, 1940–1945
FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Sowieckie instrukcje dotyczące wywózek zawierały zaskakująco szczegółowe wytyczne, mówiące nawet o zabezpieczeniu medycznym, apteczkach czy powierzchni życiowej dla wysiedlanych. Dlaczego totalitarny aparat tak bardzo dbał o te formalne detale, skoro rzeczywistość na stacjach i w wagonach okazała się dla Polaków koszmarem?

Kiedy studiowałem w archiwach materiały na ten temat, również i mnie

to bardzo dziwiło. Dodam, że nieprzestrzeganie tych ustaleń, a miały one rangę dokumentów zatwierdzonych przez rząd ZSRR, było zauważone i sygnalizowane np. w pismach terenowych struktur NKWD do centrali w Moskwie. Raportowano, że nie przestrzega się danej uchwały Rady Komisarzy Ludowych ZSRR, co skutkowało poleceniem, aby... dopilnować realizacji tych ustaleń. I tak w koło Macieju... Władze centralne formalnie jakoby „dbały" o sytuację deportowanych. Ale przy chronicznym braku podstawowych towarów trudno było rządowym specom uwzględnić potrzeby zesłańców, skoro wcześniej ich wywózki... nie zaplanowali.

Która z czterech masowych fal deportacji z lat 1940–1941 była dla sowieckiego aparatu największym wyzwaniem, a dla Polaków okazała się najbardziej destrukcyjna?

Uważam, iż największym wyzwaniem była pierwsza wywózka – w lutym 1940 roku. Przeprowadzono ją na nieznanym terenie, z zaangażowaniem komisarycznej władzy, która jeszcze nie zdążyła okrzepnąć; z obawami, że patriotyczny polski element może stawiać silny opór (uzbrojeni osadnicy i leśnicy).

Za najbardziej destrukcyjną uznaję wywózkę rodzin osób represjonowanych do Kazachstanu w kwietniu 1940 roku. Były to w większości kobiety, dzieci i starcy. Na tereny wiejskie skierowano wówczas głównie element miejski, niemający żadnego doświadczenia w ciężkiej pracy na roli czy w hodowli. Zesłańcom nie zapewniono ani miejsc pracy, ani kwater. Musieli szukać ich sami. Specjalistów nie zatrudniano zgodnie z ich kompetencjami.

W powszechnej świadomości sybirackiej dominują cztery fale deportacji. Jednak w swoich badaniach wskazuje pan, że sowiecka machina wywózek nie zatrzymywała się. Kim były ofiary tych mniejszych, „cichych" zsyłek organizowanych pomiędzy głównymi operacjami NKWD?

Pierwsza deportacja okazała się pełnym zaskoczeniem. Do kolejnych, o których krążyły pogłoski, zagrożona wywózką ludność już się przygotowywała i gromadziła zapasy żywności, pakowała odzież, obuwie, pościel, naczynia bądź też starała się uniknąć wysiedlenia. Zdarzało się więc, że ktoś zdążył w porę przenieść się do innej miejscowości, ktoś zbiegł za granicę, inny ukrył się w lesie lub w zabudowaniach albo uciekł już podczas drogi do stacji załadunkowych. Bywało też, że choroba osoby, której nazwisko figurowało na listach wywózkowych, oznaczała odroczenie zsyłki do czasu wyzdrowienia. Pozostawała ona wtedy w swoim domostwie lub w szpitalu pod strażą funkcjonariuszy aparatu represji.

Jednocześnie specjalne grupki pracowników NKWD wytrwale, nawet przez wiele miesięcy, ścigały zbiegłych i ukrywających się, a po ich ujęciu aresztowały i trzymały w zarządach obwodowych NKWD – najmłodszych zaś osadzano w izbach dziecka NKWD. Jednocześnie poszukiwano w różnej dokumentacji – w księgach meldunkowych, w wykazach specjalistów – jeszcze wówczas nieujawnionych i niezarejestrowanych na listach NKWD osób spośród kategorii zakwalifikowanych na zsyłkę. Następnie, w miarę zgromadzenia większej ich liczby, wszystkie one zostały w różnym czasie przesłane pod konwojem w niewielkich transportach deportacyjnych do rejonów przymusowego osiedlenia w głębi ZSRR.

Po podpisaniu układu Sikorski-Majski w 1941 roku ogłoszono tzw. amnestię. Na ile to wydarzenie realnie zmieniło położenie polskich zesłańców, a na ile była to cyniczna gra dyplomatyczna ze strony Moskwy?

Normalizacja stosunków polsko-radzieckich w układzie z 30 lipca 1941 roku nastąpiła pod naciskiem i z udziałem Wielkiej Brytanii – w dramatycznym dla Sowietów czasie. Pod naporem niemieckim bezładnie wycofywali się oni wtedy na wschód. Przyłączenie się ZSRR do koalicji antyhitlerowskiej było więc przełomowym wydarzeniem.



Rodzina Deców, ZSRS, rejon pyszmiński, marzec 1941 r. FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

„Amnestia" oznaczała dla polskich zesłańców ratunek, wybawienie, nadzieję na poprawę tragicznej sytuacji, na opiekę ze strony Ambasady RP, szansę na ewentualne opuszczenie „nieludzkiej ziemi". Ale żywiołowe przemieszczanie się ich do rejonów o lepszych warunkach klimatycznych przynosiło też rozgoryczenie, bo nie oznaczało od razu radykalnego polepszenia ich doli. Dopiero utworzenie terenowych struktur Ambasady RP w ZSRR oraz różnorodne formy opieki i pomocy materialnej z ich strony nieco polepszyły ten stan. Kiedy jednak Armia Czerwona dokonała trwałego przełomu na froncie wschodnim, Kreml zdecydował się na zmianę polityki wobec Polski i w 1943 roku zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem gen. W. Sikorskiego. Oznaczało

to rzucenie „amnestionowanych” na pastwę losu.

Swoje badania nad sowieckimi represjami rozpoczynał pan jeszcze w czasach PRL, gdy ta tematyka była oficjalnie zakazana lub głęboko cenzurowana. Z jakimi największymi barierami musiał pan się mierzyć?

Rzeczywiście, moje zainteresowania losami obywateli polskich w głębi terytorium ZSRR mają długą historię. Badania na ten temat rozpocząłem bowiem pół wieku temu i wiązało się to z przygotowaniem rozprawy doktorskiej o działalności opiekuńczej Związku Patriotów Polskich. Ta koncesjonowana organizacja, utworzona z woli Józefa Stalina w czerwcu 1943 roku przez polskich komunistów w Moskwie, nie cieszyła się dobrą opinią. Była narzędziem polityki Kremla wobec Polski. Ale ja chciałem zbadać, jakie formy, rozmiary i znaczenie miała organizowana przez nią pomoc dla rodaków. Moje starania o wyjazd do archiwów moskiewskich nie powiodły się. Zapewne dlatego, że podjęty temat nasuwał szereg „niewygodnych” pytań, choćby takich: Dlaczego i w jakich okolicznościach „znaleźli się” tam obywatele polscy? Jak im się żyło w „raju proletariackim”, skoro trzeba było im pomagać? Przecież Stalin zapewniał, że gospodarka ZSRR „nie zna kryzysów ani bezrobocia, nie zna nędzy ani ruiny i daje obywatelom całkowitą możność dostatniego i kulturalnego życia”.



FOT. HS

Różaniec Alfredy Łukaszewicz z domu Szorc, zabrany na zesłanie 10 lutego 1940 r. FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Doktorat przygotowałem w oparciu o źródła dostępne wówczas w Polsce. Po obronie rozprawy w 1983 roku próbowałem ją opublikować. Ale recenzent wydawniczy – płk z Głównego Zarządu Politycznego WP – skutecznie to uniemożliwił, choć ocena drugiego specjalisty była bardzo pochlebna. Moja praca ukazała się drukiem dopiero w 1994 roku. Wobec tego, że po 1989 roku wreszcie zaistniały w Polsce warunki sprzyjające wypełnianiu „białych plam”, zdecydowałem się przygotować habilitację na temat polityki Sowietów wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939–1941. Wykorzystałem dostęp do archiwów poradzieckich, co zaowocowało ustaleniami fundamentalnej wagi, m.in. na temat losów jeńców polskich i skali masowych wywózek. Ustalenia te wytrzymały próbę czasu i po prawie 30 latach wciąż są aktualne.

Który element mechanizmu deportacji powinien być według pana najgłośniej przypominany współczesnemu światu, aby taka historia nigdy się nie powtórzyła?

W cywilizowanym świecie w ogóle nie powinno być przyzwolenia na deportacje niewinnych. A w epoce Stalina miały one na celu m.in. opanowanie sytuacji na bezprawnie zaanektowanej części terytorium sąsiada. Obawa przed powstaniem tam ruchu oporu wobec okupanta skutkowała pozbyciem się przeciwników narzuconej władzy. Używając w propagandzie mocnych określeń klasowych: „wrogowie ludu” i „obcy społecznie element”, dążono do „usprawiedliwienia” zbrodniczych działań wobec patriotycznie nastawionych obywateli RP. Kara deportacji miała charakter odpowiedzialności zbiorowej. Naszym zadaniem jest upowszechniać ciągle prawdę na ten temat i przestrzegać przed totalitarnym systemem.

Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska



Ocalić pamięć

Wojna odebrała im domy, rodziny i dzieciństwo. Zostali wyrwani z rodzinnych Kresów, wywiezieni w głąb Związku Sowieckiego, skazani na głód, mróz, choroby i niewolniczą pracę. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci nie przeżyło tej nieludzkiej drogi. Ci, którzy ocaleli, nieśli w sobie traumę przez całe życie – opowiada Sybiraczka Maria Gordziejko.

W 1942 roku Iran otworzył swoje granice dla ok. 120 tys. polskich obywateli – ok. 80 tys. wojskowych i ok. 40 tys. cywilów. Stał się dla wielu z nich pierwszym bezpiecznym miejscem po latach niewyobrażalnego cierpienia. Wśród ocalonych były Maria Gordziejko oraz jej siostry – Zofia i Hania.

Zaczęło się od aresztowania ojca

Wszystko zaczęło się jesienią 1939 roku, kiedy funkcjonariusze NKWD brutalnie wkroczyli do naszego domu i aresztowali mojego ojca, Nikodema Gordziejkę. Był legionistą, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej, osadnikiem wojskowym i inwalidą wojennym drugiego stopnia. Już jako trzynastolatek został zakwalifikowany do batalionów sanitarnych wojsk lotniczych. W czasie wojny stracił dwa palce.

Sowieci przetrzymywali go w więzieniu śledczym w Kosowie Poleskim do lutego 1940 roku. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nie znam jego dalszych losów. Przez wiele lat próbowałam odnaleźć jakiekolwiek informacje o ojcu. Najprawdopodobniej znajdował się na tzw. liście białoruskiej podłączonej do listy katyńskiej.

Noc, która zabrała dzieciństwo

Była noc z 9 na 10 lutego 1940 roku. Nasz dom został otoczony. Do dziś pamiętam gwałtowne walenie do drzwi i wtargnięcie czterech uzbrojonych mężczyzn. Kazali nam natychmiast się pakować. Miałyśmy zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ponieważ – jak zapewniali – wszystko, czego będziemy potrzebować, otrzymamy na miejscu.

Zima była wyjątkowo sroga. Jeden z enkawudzistów powiedział po cichu mamie, żeby jednak zabrała jak najwięcej rzeczy na zapas.

Miałam wtedy osiem lat. Moje młodsze siostry miały sześć i cztery lata.



FOT. PIXABAY.COM (2)



Maria Gordziejko z siostrami, poniżej Maria Gordziejko w Isfahanie, 1944 r.
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



Maria Gordziejko, Ada i Maria Sikorskie, Ola Jarmulska, Isfahan, 1943-1944
FOT. ABOLQASEM JALA FRAGM





Najpierw załadowano nas na sanie i przewieziono na stację kolejową. Tam wtłoczono nas do bydlęcego wagonu z zakratowanymi oknami. W jednym rogu wybito dziurę, która służyła za toaletę. Po bokach znajdowały się prycze. Pociąg ruszył dopiero po kilku dniach. Tak rozpoczęła się nasza podróż w nieznane.

Po trzech tygodniach transport się zatrzymał. Dzieci przewożono dalej saniami, a dorosłym kazano iść przed kolumną i udeptywać drogę. Mama nieustannie do nas przychodziła i prosiła, żebyśmy nie zasypiały. Bała się, że zamarzniemy.

Po kolejnych tygodniach dotarłyśmy do posiołku Szubunia w rejonie Archangielska. Zamieszkałyśmy w barakach. Wszędzie były pluskwy, a warunki urągały ludzkiej godności. Mama pracowała ponad siły – przy wyrębie lasu, w piekarni, a także przy pilnowaniu tajgi przed pożarami. Była to praca niemal niewolnicza. Od miejscowych naczelników już na początku usłyszałyśmy, że stąd nie ma powrotu. „Tu będziecie żyć, pracować i pozdychacie. Skończycie na wzgórzu, gdzie leżą ci, którzy byli tu przed Wami".

Chodziłam do szkoły, ale dzieciństwo szybko ustąpiło miejsca walce o przetrwanie. W wolnych chwilach przygotowywałam drewno na opał, zbierałam jagody i grzyby, które później odstawiałyśmy do punktu skupu. Nieustannie dokuczał nam głód. Dodatkowym utrapieniem były meszki, komary i inne owady. Ludzi dziesiątkowały choroby, między innymi szkorbut, tyfus i kurza ślepota.

Walka o wydostanie się z nieludzkiej ziemi

W sierpniu 1941 roku dotarła do nas wiadomość, że generał Władysław Sikorski zawarł układ z rządem Związku Sowieckiego, na mocy którego Polakom miała zostać udzielona tzw. amnestia. Radość była ogromna. Pojawiła się nadzieja, że wreszcie opuścimy miejsce, w którym każdego dnia walczyłyśmy o życie. Lokalne władze przygotowały pierwszą listę osób, które mogły wyjechać z posiołku. Niestety, naszej rodziny na niej nie było.

Mama nie zamierzała się poddawać. Wiedziała, że kolejnej zimy możemy już nie przeżyć. Kazała nam ruszyć za saniami wyjeżdżających ludzi i prosić obcych, aby się nami zaopiekowali. Po kilku godzinach marszu kazano nam jednak wracać. Szłyśmy przerażone przez zaśnieżoną tajgę, trzymając się za ręce. Drogę powrotną

do posiołku odnalazłam po śladach butów.

Następnego ranka ponownie wyruszyłyśmy, tym razem z mamą. Dotarłyśmy do Bierezniaka, gdzie stała barka. Mama zdążyła załadować na nią Hanię i Zosię, ale w tym samym momencie jednostka odbiła od brzegu. Dopiero nasz rozpaczliwy krzyk sprawił, że barkę zatrzymano i pozwolono nam dołączyć do sióstr. Dopłynęłyśmy do Kotłasu, a stamtąd w bydlęcych wagonach ruszyłyśmy w kierunku Uzbekistanu. Byłyśmy głodne i skrajnie wycieńczone. Wiele osób umierało po drodze.

W 1941 roku dotarłyśmy w okolice Czirakczi w Uzbekistanie. Po wyładowaniu z wagonów zostałyśmy same na stepie. Uzbecy zabrali tylko tych, którzy byli zdolni do pracy. Nas, wyglądających jak chodzące kościotrupy, nie potrzebowali.

Do dziś pamiętam przerażające wycie szakali, a potem ich szczekanie, które wywoływało w nas jeszcze większy strach. Płakałyśmy bezradnie, nie wiedząc, co się z nami stanie.

Pomógł nam przejeżdżający sekretarz rejonu Czirakczi. Zabrał nas do swojego domu. Mieszkałyśmy tam około dwóch tygodni, jednak kiedy Hania zachorowała, musiałyśmy go opuścić z obawy o zdrowie jego rodziny. Nie pozostawił nas jednak bez pomocy. Zapewnił nam schronienie w lepiance i pomógł mamie znaleźć pracę w pralni. Mama prała bieliznę rosyjskich żołnierzy, a ja ją prasowałam.

Niestety, wkrótce mama zachorowała na tyfus plamisty i trafiła do szpitala. Wcześniej spotkała na stepie podchorążych z 6. Dywizji szkolących się w okolicy, pana Madeja, Murzka oraz Alka i Franka z Poznania. To oni się nami zaopiekowali i pierwszym transportem dołączyli do sierocińca. W 1942 roku wyruszyłyśmy w drogę do Iranu. To właśnie tam odnalazła nas mama.

Iran – kraj, który otworzył serca

Irańczycy przyjęli nas bardzo serdecznie. Okazali nam niezwykłą gościnność, bezinteresowność i ludzką życzliwość. Zobaczyli przed sobą dzieci, które przypominały ludzkie szkielety, i po prostu otworzyli serca. Po przyjeździe natychmiast skierowano nas do łaźni. Otrzymałyśmy czyste ubrania, a nasze stare, zawszone rzeczy spalono w ognisku. Ogolono nam również głowy – wszy miałyśmy nawet na brwiach i rzęsach.

Irańczycy bardzo starali się stworzyć nam namiastkę utraconej ojczyzny. W Isfahanie powstało 21 ośrodków, w których znalazło schronienie ponad 2,5 tys. polskich dzieci. Zorganizowano dla nas szkoły i przedszkola, a zajęcia prowadzili polscy nauczyciele.


SER. L. 868

RZECZPOSPOLITA POLSKA
M. S. W.
RÉPUBLIQUE POLONAISE
M. I.

PASZPORT-PASSEPORT

Obywatel polski / Citoyen polonais } GORDZIEJKO
Maria
zamieszkały w / domicilié à } Iran. Bayreuth
w towarzystwie żony / accompagné de sa femme }
i / et de dzieci / enfants
Paszport ten zawiera 40 stronic
Ce passeport contient 40 pages

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (3)





Częstowali nas owocami i daktylami. Ta życzliwość pozostała ze mną na całe życie. Wielokrotnie doświadczałam jej także podczas późniejszych podróży do Iranu.

Dwa razy przebywałam tam w sanatorium. Musiałam wyglądać naprawdę jak szkielet, skoro konieczne było leczenie i odzyskiwanie sił. Codziennie nas ważono. Przybieranie na wadze oznaczało, że wracamy do zdrowia.

Co ciekawe, mimo przeżytego głodu nie miałyśmy dużego apetytu i nie chciałyśmy jeść. Często oddawałyśmy swoje racje żywnościowe młodej junaczce Stasi Mazur. Zachorowała na zapalenie wyrostka robaczkowego i przeszła operację. Niedługo później zjadła kawałek chleba, który ukryła pod poduszką, bo bała się, że zostanie jej odebrany. Doszło do skrętu jelit. Dziewczyna zmarła. Takie historie na zawsze zostają w pamięci. Stasia została pochowana na cmentarzu w Isfahanie, obok brata Jana, który zginął tragicznie potrącony przez samochód. Na cmentarzu ormiańskim w Julfie znajduje się 18 polskich mogił. Spoczywa tam m.in. poseł króla Jana Sobieskiego Teodor Miranowicz i dzieci, które przebywały w tym czasie w Isfahanie – Stasia Mazur, jej brat i Danusia Betlejemska. Zawsze jak jestem w Isfahanie zapalam na ich grobach przywiezione z Polski znicze

Nie można tylko brać. Trzeba też dziękować

Napisałam list do Irańczyków, wyrażając współczucie i solidarność po



Chcę utrwalać pamięć o tysiącach Ludzi z Kresów, którzy przeszli przez nieludzką ziemię marząc o powrocie do Ojczyzny, Nazareth, 2017 r. FOT: KZM

ataku USA i Izraela na Iran. Uważałam, że to mój obowiązek. Irańczycy przyjęli nas, gdy potrzebowaliśmy pomocy. Wyciągnęli nas z grobów, dali nam szansę na życie, przywrócili nadzieję. Dlatego mój list był hołdem, ukłonem i podziękowaniem za uratowanie nam życia.

Dzięki decyzji o przyjęciu uchodźców wielu Polaków mogło opuścić nieludzką ziemię. Wśród ewakuowanych byli żołnierze armii generała Andersa, z których wielu walczyło później w szeregach 2. Korpusu Polskiego, m.in. pod Monte Cassino. Nie możemy zapominać, że za tą historią stoją także ci, którzy nie doczekali wolności.



Pamięć o tym, co przeżyliśmy jako naród, jest naszym obowiązkiem. Musimy oddać cześć zarówno tym, którzy przetrwali, jak i tym, którzy zginęli na zesłaniu, w drodze i na obczyźnie. Wielu ocalałych nie mogło już wrócić do swoich rodzinnych stron. Odebrano nam Kresy. Zostaliśmy oszukani.

Trauma, która nie przemija

Często o tym myślę, szczególnie teraz. Miałam osiem lat, kiedy straciłam ojca. Zostałam bez niego, a później tułałam się po różnych miejscach i sierocińcach. Nie miałam dzieciństwa. Takie doświadczenia zostają w człowieku na zawsze.

Dzisiaj, kiedy widzę biedną osobę, natychmiast przypominają mi się tamte lata. Odzywa się we mnie potrzeba pomagania. Od zawsze kupuję dodatkowy chleb i bułki, bo muszę mieć zapas. To pozostałość po dawnym głodzie i biedzie.

Mam też potrzebę kupowania różnych rzeczy. Kiedyś, jeśli coś mi się spodobało, musiałam to mieć. Kupowałam, bo wcześniej nie było mnie na to stać, bo kiedyś wszystkiego brakowało. W efekcie całe mieszkanie mam pełne różnych przedmiotów. To są ślady tamtego dzieciństwa. Wojna się skończyła, ale jej konsekwencje pozostały w nas na całe życie.

„Wrócicie na Kresy i będziecie je odbudowywać"

Moim obowiązkiem jest przekazać kolejnym pokoleniom wszystko, co przeżyli ludzie z Kresów. Do końca wierzyliśmy, że wrócimy do Polski, do naszych rodzinnych domów. W szkole i w harcerstwie, uczono nas wierności hasłu „Bóg, honor, ojczyzna" oraz wartościom takim jak wiara, nadzieja i miłość. Powtarzano nam, że wrócimy na Kresy i będziemy je odbudowywać. Wierzyliśmy w to całym sercem.

W 1947 roku wróciłyśmy do Polski. Zatrzymałyśmy się w Warszawie u siostry mamy. Niestety, mama zachorowała na depresję i ponownie trafiłyśmy do sierocińca, tym razem na Starym Mieście. Później Czerwony Krzyż przeniósł nas na ulicę Rakowiecką. Nasza tułaczka właściwie się nie skończyła.

Kiedy dowiedziano się, że jestem „od Andersa", wiele drzwi zaczęło się przede mną zamykać. Dostałam się na chemię rolną do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, ale już po pierwszym roku pojawiły się próby usunięcia mnie z uczelni. Mama po wojnie pracowała jako dozorczyni. Pomagałyśmy jej z siostrą, jak tylko potrafiłyśmy.

Przeżyłyśmy zesłanie, głód, choroby i utratę ojca. Przetrwałyśmy dzięki opiece boskiej i dobrym ludziom, którzy stawali na naszej drodze. Pomimo niewyobrażalnych trudności nie poddałyśmy się. Dlatego chcę opowiadać. Chcę utrwalać pamięć nie tylko o własnym losie, ale także o wszystkich, którzy przeszli tę drogę.

Wysłuchała
Katarzyna Zientara-Majewski



FOT. DOKUMENTYZAZJI.PL

Z archiwów środkowo-azjatyckich

Latem 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i wznowieniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Sowietami, polscy deportowani i łagiernicy uzyskali wolność i możliwość przemieszczania się po sowieckim imperium. Wielu z nich przebywała do tej pory na północy, gdzie klimat był mroźny i bardzo surowy. Naturalne było więc, że gdy pojawiła się możliwość, żeby stamtąd uciec, większość wybrała kierunek południowy: „Kazachstan, Uzbekistan, Tadżykistan, tam powinno być w każdym razie ciepło i całkiem inaczej"...

Badanie historii ofiar sowieckich represji, szczególnie tych związanych z przymusowym pobytem w głębi Związku Sowieckiego, wydaje się niemożliwe bez analizy sowieckich dokumentów. Jednak dostęp do rosyjskich archiwów, od zawsze utrudniony i ograniczony, po rosyjskiej agresji na Ukrainę stał się właściwie niemożliwy. Zarówno historycy, jak i osoby szukające informacji o swoich przodkach, którzy przeszli gehennę sowieckiej deportacji lub uwięzienia, znaleźli się w trudnej sytuacji. Jak uzyskać pożądaną wiedzę, skoro jej źródła zostały zamknięte w niedostępnych magazynach archiwalnych? I tu otworzyła się niespodziewanie niewielka furtka, z której warto skorzystać. Zamknięciu archiwów rosyjskich towarzyszy stopniowe otwieranie archiwów środkowoazjatyckich. A w nich także jest nieprzebrane bogactwo bezcennych dokumentów dotyczących tej tematyki.

Dlaczego Azja Środkowa?

Skąd dokumenty dotyczące represjonowania polskich obywateli przez reżim sowiecki wzięły się w archiwach Azji Środkowej? Po pierwsze, ten region wchodził w skład Związku Sowieckiego. Po drugie, znaczna część polskich więźniów i deportowanych była wywożona do łagrów i miejsc przymusowego osiedlenia zorganizowanych w sowieckim wówczas Kazachstanie. Po trzecie, po „amnestii" dla obywateli polskich ogłoszonej po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej kto tylko mógł, opuszczał niegościnną północ, kierując się najczęściej właśnie tam.

Jak pisała deportowana w głąb środkowosyberyjskiej tajgi Paulina

Włodawer: *No tak, wyjechać, ale dokąd? Na ten temat toczyły się długie rozmowy. Właściwie niewiele wiedzieliśmy o tym ogromnym kraju. Jasne już było jednak, że na zachodnie, bardziej nam znane tereny, nie ma się teraz co pchać. Opinia była niemal jednomyślna. Ponieważ byliśmy na północy, więc trzeba jechać na połu-*



Adela Szorc z domu Łapińska z mieszkańcami sowchozu im. Dzierżyńskiego koło Karasuku, ZSRS, 1944 r. FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

dnie, na jug. Tam były kraje, które brzmiały egzotycznie, Kazachstan, Uzbekistan, Tadżykistan, tam powinno być w każdym razie ciepło i całkiem inaczej. Nam podobała się, z nazwy przynajmniej, dolina Fergany, tam podobno było pięknie, może tam będzie dobrze? Ludzie zaczęli zbierać manatki i udawać się w drogę, nie wszyscy z określonym celem, ale wszyscy na jug, na południe, do słońca. (P. Włodawer, Tam, gdzie kończył się świat, Białystok 2024).

Wprawdzie Azja Środkowa także nie okazała się rajem dla dziesiątków tysięcy wyniszczonych głodem, chorobami i ciężką pracą represjonowanych, ale większość z nich spędziła tam od kilku miesięcy do nawet pięciu lat. Sowiecka administracja i niezmiennie dociekliwi tamtejsi funkcjonariusze NKWD uważnie obserwowali obywateli polskich, którzy masowo napłynęli do tego regionu. Tworzyli na ich temat miliony dokumentów, zapisywali tony papieru i to właśnie tę spuściznę archiwalną możemy teraz poznać.

Komisje historyczne

Muzeum Pamięci Sybiru jest od kilku lat inicjatorem i uczestnikiem międzynarodowych badań historycznych dotyczących sowieckich represji wobec Polaków i obywateli polskich. Pierwsze kontakty z azjatyckimi historykami i archiwistami instytucja ta nawiązała jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Po ataku Rosji i zamknięciu przed polskimi historykami rosyjskich archiwów podjęto decyzję o poszerzaniu tych kontaktów. Muzeum Pamięci Sybiru wspólnie z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku zainicjowało powstanie komisji historycznych: Polsko-Kazachstańskiej (2022), Polsko-Uzbekistańskiej (2023) i Polsko-Kirgistańskiej (2025); w składzie każdej z nich znaleźli się zaproszeni specjaliści, głównie historycy i archiwiści, reprezentujący odpowiednie kraje.

Komisje odbyły wiele spotkań, organizowanych czasem oddzielnie, a czasem wspólnie, naprzemiennie w Polsce i w Azji. Udało się zorganizować kilka konferencji, odbyć ciekawe dyskusje i poznać nawzajem swoje oczekiwania. Strona polska stale sygnalizowała potrzebę dostępu do materiałów archiwalnych. Takie podejście, pomimo stosunkowo krótkiego czasu działania, zaowocowało bogatą wymianą informacji i pozyskaniem licznych kopii dokumentów dotyczących obywateli polskich. Prace nad uzyskaniem dostępu do kolejnych dokumentów wciąż trwają.

Portal www.dokumentyzazji.pl

W celu upowszechniania uzyskanej wiedzy i materiałów Muzeum Pamięci Sybiru we współpracy z Muzeum II Wojny Światowej uruchomiło źródłowy portal historyczny „Z archiwów środkowoazjatyckich”

Udostępniono na nim setki dokumentów: dekrety, rozkazy, instrukcje i zarządzenia zarówno centralnych władz rosyjskich i sowieckich, jak i lokalnego kierownictwa administracji i służb obwodowych oraz republikańskich. Dotyczą one przesiedleń, deportacji, repatriacji i pobytu ludności polskiej, jej pracy, zaopatrzenia i kontroli, a także opieki nad nią. Co szczególnie ciekawe, część udostępnionych dokumentów stanowią różnorodne spisy polskich rodzin mieszkających w poszczególnych miejscowościach. Większość z nich jest prezentowana po raz pierwszy.

Niektóre dokumenty są udostępnione w języku rosyjskim, inne – po przetłumaczeniu na polski. Jednak aby z nich skorzystać, nie trzeba znać cyrylicy. Twórcy portalu zadbali o wygodę użytkowania. W celu wyszukania interesujących dokumentów dotyczących konkretnych osób lub miejscowości wystarczy skorzystać z wyszukiwarki wspomaganej przez AI. Umożliwia ona wyszukiwanie zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim. W wyniku wyszukiwania użytkownik otrzymuje wykaz dokumentów i fraz zawierających wpisane słowo oraz aktywny link umożliwiający otworzenie dokumentu, w którym ono wystąpiło. Dokumenty można następnie dowolnie kopiować i tłumaczyć za pośrednictwem narzędzi internetowych. I co ważne – dostęp do portalu i wszystkich jego funkcji jest darmowy.

Marcin Zwolski
Muzeum Pamięci Sybiru

www.dokumentyzazji.pl



Proces brzeski, czyli polityczny sąd nad opozycją

TEKST | Norbert Nowotnik

Przygotowanie zamachu – pod takim zarzutem aresztowano tuż przed wyborami w 1930 roku przywódców opozycji, gdy władze sanacyjne z Józefem Piłsudskim na czele postanowiły wytoczyć proces karny tym politykom, którzy domagali się rządów parlamentarnych. W październiku minęła właśnie 95. rocznica początku osławionego procesu brzeskiego, który dziesięciu z nich doprowadził ich do skazania.

Poniedziałkowy poranek 26 października 1931 roku. Sąd Okręgowy przy ul. Miodowej w Warszawie. – *U wejścia do sądu stała policja i sprawdzała karty wejścia wchodzących. Kiedy wchodził p. Witos, policjant poprosił o pokazanie karty. P. Witos roześmiał się: Dziękuję panu. Jestem oskarżony. Wtedy policjant wyprężył się na baczność, zasalutował i rzekł: Przepraszam* – tak wejście na pierwszą rozprawę Wincentego Witosa, trzykrotnego premiera, a teraz jednego z 11 podsądnych, opisał dzień później „Kurjer Zachodni «Iskra»".

Sam proces rozpoczął się tuż po godz. 10 od typowych potyczek prawnych, m.in. jeszcze przed odczytaniem oskarżenia adwokat Leon Berenson wyraził zastrzeżenia dotyczące protokolanta. Był to podkomisarz policji, a więc funkcjonariusz podległy Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, którego działania doprowadziły do postawienia polityków przed sądem. Po tym jak sąd wyjaśnił, że ów protokolant zostanie zastąpiony, pojawił się z kolei wniosek o przeniesienie procesu do Krakowa, gdzie odbył się kongres Centrolewu i gdzie – zdaniem obrońców – sprawę powinien rozpoznać właściwy sąd. Tego wniosku sąd jednak nie uwzględnił i po jeszcze paru innych tego typu formalnościach rozpoczęto odczytywanie aktu oskarżenia. Dokument liczył ponad 100 stron, zatem czynność tę zakończono o 17.30, a przesłuchania odłożono do następnego dnia.

Od przewrotu majowego do Centrolewu

Dlaczego przywódcy opozycji parlamentarnej stanęli przed sądem jako organizatorzy przewrotu? By odpo-

Świadek w procesie, wicestarosta wołkowyski Mieczysław Stożek podczas składania zeznań FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

wiedzieć na to pytanie należy cofnąć się do 1926 roku, gdy w maju tego roku Józef Piłsudski obalił rząd, na którego czele stał Witos. Po tym tragicznym, bo krwawym, dla historii Polski wydarzeniu spór sanacji z opozycją dotyczył głównie tego, czy o rządzeniu ma decydować parlament, czy Piłsudski i jego ludzie. Opozycja chciała, by rząd znów odpowiadał przed



Oskarżony Wincenty Witos (z lewej) ze swym obrońcą Stanisławem Szurlejem przybywa na rozprawę FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

parlamentem, zgodnie z zapisami konstytucji marcowej. Dodatkowo ówczesny polityczny zamęt pogłębiał kryzys gospodarczy, którego początkiem był krach na giełdzie nowojorskiej w październiku 1929 roku.

Ostatecznie 29 czerwca 1930 roku w Krakowie odbył się opozycyjny Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu, na którym domagano się odsunięcia Piłsudskiego od władzy i powrotu do rządów parlamentarnych, a prezydentowi Mościckiemu zarzucano, że podporządkował się marszałkowi, co zebrane razem władze uznały za przygotowania do przewrotu. Kongres ten był zwieńczeniem porozumienia sześciu partii tworzących Centrolew, w tym momencie najsilniejszy blok pomajowej opozycji: PSL „Piast", PSL „Wyzwolenie", Stronnictwa Chłopskiego, Narodowej Partii Robotniczej, chadecji i PPS. Nastroje opozycji dobrze oddaje przyjęta na kongresie rezolucja.



Oskarżony Adolf Sawicki podczas procesu FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Dla Piłsudskiego demokracja znajdowała się na kursie kolizyjnym z wizją silnego państwa co najmniej od 1922 roku

– *Postulaty zgromadzonych szły daleko. Za najważniejszy cel uznano bowiem odsunięcie od władzy obozu Piłsudskiego, przywrócenie rządów parlamentarnych i przezwyciężenie trudności gospodarczych. W rezolucji zapisano: „walkę o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego podjęliśmy wszyscy razem i razem ją poprowadzimy dalej, aż do zwycięstwa", „na każdą próbę zamachu stanu odpowiemy najbardziej bezwzględnym oporem", „na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną". Te ostatnie postulaty brzmiały groźnie. Rozumiane dosłownie przez przedstawicieli władzy, zostały zinterpretowane jako zapowiedź przygotowań do zamachu stanu ze strony opozycji lub co najmniej zachęta do walki zbrojnej o władzę. Tak też przedstawia je część historiografii przychylnej Piłsudskiemu i piłsudczykom. Interpretacja ta idzie za daleko. Słowa zawarte w cytowanej rezolucji oznaczały twardy opór wobec terroru czy zamachu stanu, a nie sam terror lub zamach stanu* – ocenił historyk prof. Mariusz Wołos w książce „Józef Piłsudski. Rzecz o nieprzeciętności".

Piłsudski o byłych posłach

Centrolew cieszył się coraz większą popularnością, stąd też 30 sierpnia 1930 roku Mościcki ostatecznie rozwiązał i Sejm, i Senat. Ponieważ opozycja szykowała się do manifestacji, to obóz władzy, którego przywódca Józef Piłsudski czele ponownie objął urząd premiera, przygotowywał uderzenie w jej przywódców. Na jednym z posiedzeń rządu marszałek mówił już wprost o konieczności ukarania posłów i nazwał ich „bydłem". – *Dla Piłsudskiego demokracja znajdowała się na kursie kolizyjnym z wizją silnego państwa co najmniej od 1922 roku. Teraz przechodziła ona w fazę anarchii gotowej rozsadzić Polskę od środka, niekoniecznie tylko za pomocą manifestacji ulicznych, ale może i walki zbrojnej. Uznał zatem, że nadszedł czas złamania jej kręgosłupa* – podkreślił prof. Wołos, dodając, że bohater jego książki, by użyć jego własnego określenia, poszedł „drogą bata". – *Działał szybko, skutecznie i brutalnie* – dodał historyk.

Niedługo po ponownym objęciu funkcji szefa rządu Piłsudski w wielu wywiadach ostro atakował zarówno sam parlamentaryzm, jak i posłów. *Proszę pana* – mówił Piłsudski 26 sierpnia w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Polskiej" – *w Konstytucji jedno jest zupełnie wyraźne: że poseł nie ma prawa rządzić. Tymczasem pan poseł tylko to właśnie chce robić.* (...) *Pan poseł, to nikczemne zjawisko w Polsce, pozwala sobie bo-*

wiem na czynności tak upokarzające, zarówno Sejm, jako instytucję, jak i samych siebie, jako posłów, że powtarzam, cała praca w sejmie śmierdzi i zaraża powietrze wszędzie.

– Ja, proszę pana, nie jestem w stanie pozwolić wbrew Konstytucji rządzić panom posłom i uważać ich za jakichś wybrańców do rządzenia. Zdaniem moim, w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeżeli zaś przy tym coś im dołożą, to także nie szkodzi – dodał. Później Piłsudski przekonywał też, że posłów już nie ma, a tych, którzy mimo to chcą zatrzymać uprawnienia, przedstawiał jak „zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze".

Aresztowania i twierdza w Brześciu

Wreszcie w nocy z 9 na 10 września 1930 roku, a więc tuż przed jesiennymi wyborami, władze przystąpiły do aresztowań przywódców opozycji wyłącznie na podstawie decyzji administracyjnej. – *Aresztowań dokonano bez nakazu sądowego, a jedynie na polecenie ministra spraw wewnętrznych Sławoja Składkowskiego. Uwięzionych przewieziono do twierdzy w Brześciu nad Bugiem. W kilkanaście dni później przekazano tam również przywódcę chadecji Korfantego. Osadzonych w Brześciu traktowano brutalnie, a niektórych bito* – podkreślili w popularnym opracowaniu historycy dr Anna Radziwiłł i prof. Wojciech Roszkowski.

Wśród osadzonych znaleźli się późniejsi oskarżeni w procesie brzeskim. Z PPS byli to Norbert Barlicki, były minister robót publicznych, Adam Ciołkosz, poseł tarnowski i instruktor harcerski, Stanisław Dubois, organizator Czerwonego Harcerstwa, Herman Lieberman, adwokat i były legionista, Mieczysław Mastek, kolejarz i związkowiec, oraz Adam Pragier, profesor skarbowości Wolnej Wszechnicy Polskiej. Z ruchu ludowego zatrzymano wspomnianego już tutaj trzykrotnego premiera Wincentego Witosa, byłego ministra spraw wewnętrznych i rolnictwa Władysława Kiernika, posła PSL „Wyzwolenie" Kazimierza Bagińskiego, adwokata i byłego wójta Choczni Józefa Putka oraz rolnika i byłego wójta Korycina Adolfa Sawickiego. Lista więźniów brzeskich nie ograniczała się jednak do przyszłych oskarżonych. Nie stanęli przed sądem Karol Popiel ani Wojciech Korfanty, przywódca polityczny Górnego Śląska. Co istotne, formalne postanowienia sędziego śledczego, które dotyczyły aresztowanych polityków, zapadły dopiero po ich uwięzieniu.

– *Więźniowie przetrzymywani byli w haniebnych i uwłaczających warunkach. Zdarzały się przypadki stosowania wobec nich przemocy, a upokorzenia były niemal codziennością. Jednym ze sposobów tortur było pozorowanie egzekucji. Był to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Wedle różnych szacunków późnym latem i jesienią 1930 roku różnym formom represji poddano łącznie około pięciu tysięcy ludzi, w tym osiemdziesięciu czterech byłych posłów i senatorów. Uderzono w reprezentantów mniejszości ukraińskiej i białoruskiej. Spośród polskich ugrupowań politycznych największą liczbę represjonowanych stanowili socjaliści* – zwrócił uwagę prof. Wołos, który przypomniał też, że izolacja przywódców przypadła na okres brutalnej kampanii wyborczej, a więźniowie wychodzili za kaucją dopiero po wyborach.

Sędziowie i prokuratorzy

Rozprawie w procesie brzeskim przewodniczył Klemens Hermanowski, a razem z nim w ławie sędziowskiej zasiadali Jan Rykaczewski i Stanisław Leszczyński. Po stronie oskarżenia występowali prokuratorzy Witold Grabowski i Robert Rauze. Postawili oni zarzut przygotowywania zamachu, którego celem miało być „usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę Rządu". W jeden wątek prokuratura splatała kongres krakowski, publikacje prasowe, odezwy, wiece oraz zapowiadane protesty, zaś krytyczne oceny rządu uznawała za namawianie obywateli do jego obalenia. To oznaczało, że z samej ostrości politycznych wystąpień starano się wywieść przestępczy zamiar, natomiast żądanie ustąpienia gabinetu traktowano jako dowód rzekomego planu sięgnięcia po przemoc.



Oskarżony Wincenty Witos i jego obrońca Stanisław Szurlej w kuluarach sądowych
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Nieprzychylne nastawienie sędziego Hermanowskiego do podsądnych – jak relacjonował tygodnik „Piast" – widać było w jego reakcji na protest Korfantego przeciwko obraźliwej wypowiedzi prokuratora Grabowskiego, ponieważ gdy Korfanty zarzucił prokuratorowi, że go obraził, przewodniczący, zamiast odnieść się do tego zarzutu, przerywał świadkowi i przywołał go do porządku. Przewodniczący składu mówił też, że sala sądowa nie jest miejscem na tego rodzaju wystąpienia, ostatecznie więc Korfanty oświadczył, że skoro nie pozwala mu się mówić, to on rezygnuje z dalszych zeznań.

Obrona i ostatnie słowo Witosa

Obrońcy, jak i sami oskarżeni zdecydowanie kwestionowali utożsamianie nacisku politycznego z fizycznym przymusem i tym samym próbą dokona-



Konfrontacja trzech świadków zeznających w procesie brzeskim. Od lewej: nadkomisarz Policji Państwowej Karol Fusch, poseł Franciszek Arciszewski i poseł Jan Kwapiński

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Oskarżony Władysław Kiernik z rodziną przybywa na rozprawę

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

nia przewrotu. – *Wysoki Sądzie, ja byłem prezesem tego rządu, który został przez zamach majowy obalony. Nie ja więc knułem zamachy, nie ja robiłem spiski, ale ja wraz z rządem stałem się ofiarą spisku i zamachu.* (...) *Wierzyłem zawsze i wierzę, że w Polsce jest sprawiedliwość i prawo, ale nie tylko prawo, ale równe prawo dla wszystkich* – bronił się Wincenty Witos. – *Dlatego siedząc dziś na ławie oskarżonych,* (...) *spodziewam się, że wreszcie przyjdą w Polsce takie zmiany, gdy prawo i sprawiedliwość będą pełne, gdy na ławie oskarżonych zasiądą także i ci, którzy nie tylko myśleli, ale i dokonali zamachu* – dodawał.

Wśród obrońców byli Stanisław Szurlej, Jan Nowodworski i wspomniany już Leon Berenson. Adwokaci przekonywali, że art. 104 konstytucji marcowej chronił wyrażanie myśli i przekonań, a art. 108, koalicję, zgromadzanie się i zrzeszanie. Skorzystanie z tych wolności nie mogło być przecież dowodem zamachu. W ostatnim słowie z 8 stycznia 1932 roku. Witos odrzucił zarzut, jakoby posługiwał się językiem rewolucyjnym, i zapowiedział, że nie wycofa się z głoszonych dotąd postulatów. Za fundament państwa uznał prawo, wolność oraz równość obywateli, a jednocześnie sprzeciwił się porządkowi, w którym rządzący stoją ponad obywatelami. Swoje stanowisko streścił w zdaniu, które przytoczył w swojej relacji z 17 stycznia 1932 roku „Piast": *Wolę słaby rząd i silne społeczeństwo, aniżeli silny rząd i słabe społeczeństwo.*

Amnestia to nie uniewinnienie

Wyrok zapadł 13 stycznia 1932 roku. Dziesięciu polityków usłyszało kary od półtora roku do trzech lat więzienia. Najłagodniej potraktowano Witosa, któremu wymierzono półtora roku, Bagiński otrzymał dwa lata, Lieberman, Barlicki i Kiernik po dwa i pół roku, a Mastek, Dubois, Pragier, Ciołkosz i Putek po trzy lata. Jedynie Sawicki wyszedł z procesu bez kary, a uniewinniająca go część wyroku nie została zaskarżona. Większość składu uznała, że oskarżeni brali udział w spisku, natomiast Leszczyński zgłosił zdanie odrębne i opowiedział się za uniewinnieniem wszystkich.

Postępowanie apelacyjne toczyło się w kilku etapach, jednak w październiku 1933 roku Sąd Najwyższy oddalił kasację obrońców, co zamknęło drogę odwoławczą w tamtym czasie. Dopiero 31 października 1939 roku, a więc już po wybuchu II wojny światowej, o całkowitej amnestii dziesięciu skazanych zdecydował prezydent Władysław Raczkiewicz. Dekret znosił karę główną, kary dodatkowe i skutki skazania, a także przywracał prawa obywatelskie i honorowe, godności oraz odznaczenia. Nie oznaczało to jednak, że sąd uniewinnił skazanych albo że ich wyroki zostały uchylone, ponieważ amnestia usuwała następstwa skazania, lecz nie podważała samych rozstrzygnięć.

Wreszcie po przeszło 87 latach w maju 2019 roku PSL zwróciło się do Rzecznika Praw Obywatelskich o wniesienie kasacji na korzyść Witosa, a ówczesny RPO Adam Bodnar domagał się w niej uniewinnienia wszystkich dziesięciu skazanych. W efekcie 25 maja 2023 roku Sąd Najwyższy w sprawie o sygnaturze II KK 453/22 uchylił dawne wyroki i uniewinnił całą dziesiątkę.

– *Proces brzeski był bez wątpienia jednym z kluczowych etapów zmiany obowiązującego w Polsce na podstawie Konstytucji z 17 marca 1921 r. ustroju z demokracji parlamentarnej na model autorytarny* – ocenił Sąd Najwyższy, który w uzasadnieniu podkreślił też, że ówcześni prokuratorzy i sędziowie odpowiedzieli na „wyraźnie określone zapotrzebowanie polityczne". ■



FOT. MUZEUM WARSZAWY

Piekło przyszło z nieba

TEKST | Waldemar Kowalski

Wystarczył jeden dzień – 25 września 1939 roku – aby ponad 400 samolotów Luftwaffe, w serii nalotów dywanowych, dokonało zagłady Warszawy i tysięcy jej mieszkańców. Świadkowie tych dramatycznych chwil nie mieli wątpliwości: to była istna apokalipsa.

Jeden ze sprawców tej straszliwej zbrodni – gen. Albert Kesselring – tak instruował przed wojną swych młodych rodaków, absolwentów wojskowych szkół lotniczych: *Krążąc nad miastami i polami wroga, winniście zdławić w sobie wszelkie uczucia. Musicie powiedzieć sobie, iż istoty, które widzicie, nie są ludźmi. Ludźmi są bowiem tylko walczący Niemcy. Dla niemieckiej Luftwaffe nie istnieją ani tak zwane obiekty niewojskowe, ani względy uczuciowe. Kraje nieprzyjacielskie winny zostać starte z powierzchni ziemi.*

Zbliżająca się wojna miała być konfliktem totalnym, a natychmiastowym efektem tej przerażającej wizji było niewyobrażalne cierpienie cywilów i zgliszcza miast. Warszawa nie była wyjątkiem. Już od pierwszego dnia agresji niemieccy lotnicy, kreowani przez propagandę na „podniebnych rycerzy Hitlera", systematycznie niszczyli polską stolicę. Codziennie – aż do kapitulacji miasta – ponad milion warszawiaków drżało o siebie i swoich najbliższych, wypatrując na niebie nieprzyjacielskich maszyn. Pod gruzami zawalonych kamienic ginęły setki, tysiące bezbronnych cywilów. Niemiecki ogień trawił też polskie dziedzictwo narodowe – niezliczona liczba zabytków i zbiorów polskiej sztuki oraz nauki przepadła bezpowrotnie.

Czarny poniedziałek

Apogeum tego koszmaru przypadło na 25 września. Pamiętnego dnia, który w historiografii i pamięci mieszkańców zapisał się jako „czarny poniedziałek" (nazywano go też „lanym poniedziałkiem"), Niemcy przystąpili do zwieńczenia dzieła zniszczenia, które rozpoczęli niecałe cztery tygodnie wcześniej.

Aby złamać ducha walki warszawiaków, Luftwaffe przeprowadziła największe do tej pory bombardowanie. Nie był to zwykły atak na pojedyncze cele wojskowe. Niemieckie dowództwo dążyło do złamania oporu stolicy, dlatego ze wszystkich sił uderzyło w infrastrukturę, od której zależało

przetrwanie ludności. Elektrownia, wodociągi, gazownia, łączność i szpitale stanowiły elementy miejskiego organizmu, bez których normalna egzystencja stawała się niemożliwa.

Lotnictwo wroga przeprowadzało naloty falami już od wczesnych godzin porannych. Bomby rozrywały budynki, niszczyły dachy i ściany, zasypywały ulice gruzem. Kolejne wybuchy



Tymczasowy cmentarz poległych z grobami na skwerze na Placu Trzech Krzyży, październik 1939 r. FOT. MUZEUM WARSZAWY

mieszały się z hukiem walących się kamienic. W wielu miejscach rozgorzały pożary, które przy silnym wietrze szybko wymykały się spod kontroli. Nad miastem wznosiły się słupy czarnego dymu.

Skala ataku była ogromna. Według często przytaczanych szacunków ponad 400 niemieckich samolotów, w tym 240 „sztukasów" – Ju 87B, wykonało tego dnia łącznie 1176 lotów bojowych. Na Warszawę spadło 560 ton bomb burzących oraz 72 tony bomb zapalających. Podniebną operację wspierała artyleria – huraganowy ogień ok. 900 dział i moździerzy różnego kalibru systematycznie obracał miasto w ruinę.

Wrzask, dym i płomienie

Relacje warszawiaków zgodnie wskazują na niespotykaną dotąd intensywność bombardowań. Każda godzina w oblężonym, atakowanym z powietrza mieście była dramatyczną walką o przetrwanie.

Piekło niemieckich nalotów opisał w swym dzienniku Zdzisław Żórawski, porównując nieprzyjacielskie bombowce do „wielkich kruków, które zleciały się ze wszystkich stron". *Nie zdążono nawet – wyjaśniał – zarządzić alarmu, jak już setki bomb pokryły wszystkie dzielnice. W mgnieniu oka Warszawa stanęła w chmurach dymów, eksplozji i pożarów.*

– Od rana rozbrzmiewał warkot motorów samolotowych, raz po raz słychać było gwizd obniżających się aparatów, po czym rozlegał się huk bomby, potem zaś jeszcze nierzadko – łoskot walących się murów. (...) *Pod gradem bomb burzących, rzucanych częstokroć razem z zapalającymi, osłabła energia w gaszeniu pożarów.* (...) *Spłonęła cała, poza dwoma tylko domami, ulica Czackiego.* (...) *Szalejący po obu stronach ulicy ogień utworzył sklepienie płomieni, pod którym biegał nieprzytomny ze strachu tłum mieszkańców* – pisał mieszkaniec oblężonego miasta, Ludwik Landau.

Na warszawską apokalipsę z przerażeniem patrzyła też Zofia Petersowa, autorka pamiętnika: *Z okien, balkonów i drzwi waliły jęzory płomieni, bijących w niebo jaskrawymi słupami. Z belek okopconych, żarzących się lub już czarniejących sypały się iskry.* (...) *Z okien, gdy wiatr uchylał płomienistą zasłonę, wychylali się ludzie, rzucając na ulicę jakieś przedmioty. Jezdnia usłana była pościelą, odzieżą, tobołkami* (...). *Trzask i huk pożaru mieszał się w ogłuszającą kakofonię z rozpaczliwymi wrzaskami.*

Podpułkownik Wacław Lipiński z Dowództwa Obrony Warszawy, autor dziennika z oblężonego miasta, tak zapamiętał poranek tego feralnego dnia: *Była godzina ósma rano, kiedy obudził mnie gwałtowny wstrząs powietrza. Gdzieś w pobliżu wybuchła bomba.* (...) *Wychodzę na dziedziniec. Nad nami już nie warkot, lecz wycie pikujących samolotów i eksplozja za eksplozją.*

Lipiński próbował przemieszczać się po ulicach, lecz przejazd przez centrum stawał się coraz trudniejszy. Gruz zasypywał jezdnie, pożary odcinały drogi, a uszkodzone budynki groziły zawaleniem. Każdy zły ruch, każdy źle obrany kierunek mógł skończyć się tragicznie...

Tak chyba wyglądać będzie koniec świata

Szczególnie dramatyczne były pożary w Śródmieściu. Płonęły budynki przy ulicach: Traugutta, Wierzbowej, Świętokrzyskiej i Nowym Świecie. Ogień obejmował całe ciągi kamienic, a wzmagający się wiatr przenosił iskry na dachy oraz fasady sąsiednich domów. Tak Lipiński opisywał widok, który trudno było znieść nawet człowiekowi przyzwyczajonemu do wojennej rzeczywistości: *Wychodzę na Marszałkowską, jest późna godzina wieczorna. Widno, przeraźliwie widno, na dodatek zerwał się suchy, gorący wiatr, który niesie iskry, żar i gorący, rozpalony popiół.* (...) *Nikt nie ratuje, więc ogień przenosi się z miejsca na miejsce, z domu do domu, niektóre całe już ulice, jak Traugutta,*

Wierzbowa, Świętokrzyska, Nowy Świat, stoją w ogniu, palą się dziesiątki i setki domów.

Przejeżdżając przez zagruzowane, płonące w wielu miejscach centrum miasta, ppłk Lipiński sam ryzykował życiem: *Ledwiem wypadł z al. Szucha w* [Aleje] *Ujazdowskie, musiała snadź nowa eskadra nadlecieć, gdyż jadę teraz w nieustannym świście.* (...) *wśród domów i pałacyków, wśród drzew parku co chwila błyskają potworne płomienie i gejzery czarnego dymu walą do góry* (...). *Aleje pokryte potrzaskanymi autami, wozami, pobitymi końmi, z wypatroszonymi wnętrznościami.*

Najbardziej przejmujący wydawał się widok mieszkańców, którzy usiłowali wydostać się z płonących budynków. Część z nich, nie zważając na zagrożenie, próbowała ratować dobytek życia. Rodzice z dziećmi, starsi – wszyscy szukali bezpiecznej kryjówki. Często jednak nie było dokąd uciec. Ogień zamykał przejścia, zawalone ściany blokowały drogę, a kolejne eksplozje tylko potęgowały zbiorową histerię.

– *Obraz jest nie do zniesienia, nie wytrzymują go nawet moje nerwy. Wśród rozżarzonych ogniem ulic biegną ludzie.* (...) *Biją w tych oślepłych, oszalałych z przerażenia ludzi serie nowe, nowe pociski* – relacjonował autor dziennika z oblężonej Warszawy.

Traumę wycieńczonych fizycznie i psychicznie mieszkańców opisał też Ludwik Hirszfeld, wybitny lekarz, który wniósł przełomowy wkład w rozwój medycyny. Jak relacjonował: *Ciemno było od dymu pożarów i sadzy, domy się chwiały i waliły. Ludzie jak w obłędzie biegali od domu do domu, ze schronu do schronu. Na ulicach zabici, ranni, konie obok ludzi. Tak chyba wyglądać będzie koniec świata.*

87 lat temu tysiącom warszawiaków w mgnieniu oka rozpadł się świat. Dom, plany na przyszłość, cenne przedmioty czy rodzinne pamiątki – wszystko to przestało mieć znaczenie wobec najprostszego pytania: gdzie można przeżyć następną godzinę?

Życie miasta jest całkowicie sparaliżowane

Bilans bombardowań z 25 września 1939 roku był tragiczny – tylko tego jednego dnia zginęły tysiące bezbronnych cywilów. Naloty uderzyły w podstawy funkcjonowania miasta. Wśród zaatakowanych obiektów były m.in. elektrownia, filtry i wodociągi, gazownia, radiostacja (nadająca z Fortu Mokotowskiego), urząd telegraficzny, mosty, dworce i tory kolejowe, koszary oraz magazyny wojskowe. Niemcy zrujnowali nawet szpitale: św. Ducha, Dzieciątka Jezus i Ujazdowski, zabijając setki pacjentów i członków personelu medycznego. Nie oszczędzano także kościołów.



Skład broni na pl. Krasińskich po kapitulacji Warszawy, 1939 r. FOT. MUZEUM WARSZAWY

Wieczorem Warszawę rozświetliła potężna łuna ognia. – *Ilość równoczesnych pożarów w mieście oceniana jest na dwieście, przy czym niektóre z nich obejmują całe ulice* (...). *Życie miasta jest całkowicie sparaliżowane* – relacjonował Władysław Bartoszewski. Trawiące miasto pożary obserwował z okna także wybitny pianista Władysław Szpilman. – Ciężkie, krwistoczerwone kłęby dymu ciągnęły nisko nad domami – zauważył.

Pisarz Józef Hen tak obrazowo opisywał dramatyczną atmosferę poniedziałkowego wieczoru: *Kładę się na łóżku, zanurzam głowę w poduszce. Łoskoty z miejsca cichną, tylko drżenie ziemi staje się bliższe, chociaż delikatniejsze. Staram się wyobrazić sobie plażę, czysty nurt rzeczki, ławicę srebrnych rybek, złotoskóre dziewczyny o leniwych, nagich biodrach. Korowód osypanych kwieciem drzew. Jaśminy, w ustach słodko od snu i gęstej białości, jaśminy, ptak gwiżdże, biało, słodko, gwizd, jaśmin, gwizd, gwizd, ten gwizd jest coraz lękliwszy, narasta od dołu, od poduszki, wwierca się w ucho i świdruje bębenki, bije w zęby, zrywam się z łóżka i nim zdążę się wyprostować, ogłuszający cios w kark rzuca mnie z powrotem na łóżko. Trafiło, błyska mi w mózgu poprzez drgawki i huk, trafiło, ściany w ataku epilepsji, dzieci krzyczą, w uszach ból, ziemia skacze pode mną, z sufitu spada tynk, od podłogi wzbija się mgła, trafiło, myślę, więc to tak wygląda, jeszcze żyjemy, umiera się powoli, tak jak się rozpada dom, w drgawkach i rzężeniach. Wszyscy*



Nalot na Warszawę we wrześniu 1939 r.
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

mają zadarte głowy, patrzą w sufit, który ma się rozpęknąć i runąć nam na głowy.

W atakowanym z powietrza mieście brakowało prądu, żywności, leków i materiałów opatrunkowych. Głodujący mieszkańcy, ryzykując życiem, wybiegali na ulice w poszukiwaniu mięsa z padniętych koni... Warszawa zamieniła się w jeden wielki cmentarz, co groziło wybuchem epidemii. Świadkowie zgodnie powtarzali: na ulicach Warszawy rozgrywały się sceny jak z apokalipsy.

Żądam pomsty!

Szczególną rolę w podtrzymywaniu morale warszawiaków odgrywał komisaryczny prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Nie opuścił miasta, a jego płomienne przemówienia radiowe stały się dla mieszkańców jednym z najważniejszych źródeł informacji i otuchy.

Tragiczny 25 września odcisnął na Starzyńskim niezatarte piętno. Był on – jak zauważył ściśle z nim współpracujący ppłk Lipiński – skrajnie zmęczony, wydawał się zmieniony, „twarz mu sczerniała i zapadła". Na nocnym zebraniu w gmachu dowództwa z bólem serca referował: *Miasto jako instytucja publiczna nie istnieje. Zostało zburzone. Wszystko, co może utrzymać przy życiu zbiorowisko miliona ludzi: elektrownia, wodociągi, telefony, Radio, gazownia, szpitale – zburzone i spalone. Płoną wszystkie gmachy publiczne, ministerstwa, teatry, muzea, banki. Gasić nie ma czym i nie ma kim, wszystko się rozprzęga, ludzie nie są w stanie pracować w tych warunkach.*

Prezydent nie ukrywał dramatycznego położenia także na falach Polskiego Radia, kierując swe słowa do mieszkańców: *Dzisiejszy nalot nieprzyjacielski, z niezwykłą furią niszczący miasto wszystkimi możliwymi środkami, obliczony jest niewątpliwie do wzniecenia popłochu i strachu wśród ludności stolicy, celem załamania jej ducha.* (...) *Zniszczenie naszej stolicy jest już faktem dokonanym. Nic gorszego spotkać nas już nie może. W imię Boga i Ojczyzny* — przetrwamy.

> Po raz ostatni odwołuję się do naszych sojuszników. Już nie proszę o pomoc. Na to już nie czas. Żądam pomsty. Za spalone kościoły, za zniszczone zabytki, za łzy i krew niewinnie pomordowanych
>
> **Stefan Starzyński**

Zapowiadając karę za zbrodnicze działania niemieckiego lotnictwa, Starzyński grzmiał: *Dzisiaj Niemcy wystrzelili na Warszawę dziesięć wagonów amunicji. Możecie, cholery, wystrzelać dziesięć razy więcej, a Warszawy i tak nie zdobędziecie, gdyż nic nie jest w stanie złamać ducha naszego oporu. Po raz ostatni odwołuję się do naszych sojuszników. Już nie proszę o pomoc. Na to już nie czas. Żądam pomsty. Za spalone kościoły, za zniszczone zabytki, za łzy i krew niewinnie pomordowanych, za mękę rozrywanych bombami, palonych ogniem pocisków fosforowych, uduszonych w zawalonych schronach i piwnicach. A wy, zbrodniarze, barbarzyńcy, którzy napadliście na nasz kraj, niosąc pożogę i śmierć – wiedzcie o tym, że istnieje sprawiedliwość, że istnieje sąd, przed którym wszyscy stanąć musimy, aby zdać sprawę i ponieść odpowiedzialność za nasze czyny.*

Po „czarnym poniedziałku" niezłomny gospodarz ratusza wypowiedział też słowa, które przeszły do historii jako jeden z najważniejszych symboli obrony stolicy. Mówił o Warszawie, którą chciał widzieć wielką, i którą teraz dostrzegał w jej heroicznej walce, mimo że wokół szalały pożary i piętrzyły się ruiny. Los miasta był już przesądzony. Aby bezmyślnie nie szafować krwią żołnierzy i nie narażać bezbronnych cywilów, dowództwo obrony stolicy podjęło decyzję o kapitulacji. 28 września heroiczny opór Warszawy przeszedł do historii.

***

8 listopada 1942 roku, w 19. rocznicę tzw. puczu monachijskiego, Hitler publicznie kłamał, jakoby trzy lata wcześniej chciał ratować polską stolicę przed zagładą: *Zanim zaatakowaliśmy Warszawę, pięciokrotnie wzywałem do kapitulacji – za każdym razem spotykałem się z odmową. Prosiłem, aby przynajmniej pozwolono odejść kobietom i dzieciom. Nie przyjęto nawet parlamentariusza z białą flagą. Odrzucono wszystko, dopiero wtedy zdecydowałem się na działania dopuszczalne w świetle każdego prawa wojennego.*

Prawda była zupełnie inna: zbrodniarz, który widział siebie w roli wyłącznego pana życia i śmierci, nigdy nie krył zadowolenia ze zniszczenia polskiej stolicy. Także feralnego 25 września 1939 roku, gdy obserwował z przedmieść miasta skutki wielogodzinnych nalotów swej „rycerskiej" armii. ■







FOT. UDSKOR (3)

Mjr Władysław Dąbrowski świętował 102-lecie urodzin

Major Władysław Dąbrowski, jeden z ostatnich żyjących żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, który brał udział w bitwie o Monte Cassino i walkach o Ankonę i Bolonię, skończył 102 lata.

Urodziny majora Władysława Dąbrowskiego były okazją do świętowania w gronie rodziny, bliskich, przyjaciół i znajomych. Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe jubilatowi przekazał szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell, który podkreślił ogromne zasługi majora oraz znaczenie jego świadectwa dla kolejnych pokoleń.

– *Major jest żywym świadkiem historycznych wydarzeń, a jego zaangażowanie, energia i pasja są niezwykle inspirujące oraz motywują innych do działania i podejmowania własnych wyzwań. Szczególnie ważne są spotkania majora z młodymi ludźmi, którzy czekają na możliwość poznania jego historii i wysłuchania bezpośredniego świadectwa człowieka, który był uczestnikiem wydarzeń zapisanych na kartach historii* – zaznaczył Lech Parell.

Szef Urzędu wyraził nadzieję, że major Władysław Dąbrowski pozostanie z nami jeszcze przez wiele lat i będzie miał okazję ponownie odwiedzić miejsca związane z jego wojennym szlakiem. Panie Władysławie, życzymy dużo zdrowia, siły i samych pięknych chwil w gronie bliskich i przyjaciół. 200 lat! ■



TEKST | Beno Benczew

Grono Młodzieży Niezależnej, czyli nie tylko „Precz z komuną”

GMN to opozycyjna grupa działająca w Raciborzu od 1985 roku do początków 1990 roku. Ujawniła się 11 listopada 1988 roku, przyjmując nazwę Grono Młodzieży Niezależnej. Wcześniej funkcjonowała bez nazwy, początkowo w niewielkim składzie.

Racibórz był wówczas około 60-tysięcznym miastem leżącym nad Odrą na Górnym Śląsku, z dwoma liceami ogólnokształcącymi i licznymi szkołami zawodowymi.

Było ich trzech…

Wiosną 1985 roku spotkali się trzej koledzy: Beno Benczew, Dariusz Jadczyszyn (Pyziu) i Zbigniew Wieczorek (Wiechu). Zdecydowali o podjęciu działalności podziemnej przeciwko władzy komunistycznej. Wobec skromnych możliwości chcieli oddziaływać przede wszystkim na świadomość rówieśników. Pierwszym celem stało się utworzenie kanałów kolportażu wydawnictw drugiego obiegu i nawiązanie kontaktów, drugim – samokształcenie.

Najłatwiejsze było doprowadzenie do regularnych spotkań, podczas których rozmawiano o aktualnych wydarzeniach i wymieniano się refleksjami. Czasem dyskusje były bardzo żywiołowe, nawet z ostentacyjnym wychodzeniem i trzaskaniem drzwiami. Dariusz Jadczyszyn, mimo nacisków Bena Benczewa, sprzeciwiał się powołaniu organizacji i przyjęciu nazwy. Przekonał pozostałych, że nie jest to celowe, dlatego nazwę oraz ramy organizacyjne pozostawiono na później.

Drugi obieg

Głównym celem stało się utworzenie trwałej sieci kolportażu, co nieoczekiwanie szybko udało się osiągnąć. Tylko gdzie szukać kontaktu z podziemiem w małym mieście? Wyjść na ulicę i pytać przechodniów, czy konspirują? Mniej więcej taki model przyjął jeden z kolegów, gdy w II LO zaczął pytać różnych uczniów o bibułę. Nie było w tym ostentacji, ale trudno też dopatrzyć się konspiracyjnego BHP.

O dziwo, ta nieprzemyślana taktyka przyniosła skutek. Okazało się, że koleżanka ze starszej klasy ma chłopaka, który już studiuje w Krakowie i może pomóc. Pierwsze egzemplarze „Tygodnika Mazowsze" były jak wymarzony prezent pod choinkę. Od tego momentu ruszyła cała rzeka różnych wydawnictw. Były to pisma i pisemka krakowskie, np. „Promieniści", „Hutnik", ale też „Arka" czy „Mała Polska". Następnie pojawiły się prasa z innych regionów i książki. Szybko zdecydowano o utworzeniu biblioteki, do której trafiał pierwszy egzemplarz każdej publikacji, a pozostałe szły na „wolny rynek".

Do 1990 roku zgromadzono prawie 400 książek i czasopism oraz puszczono w obieg tysiące biuletynów i pism. Wśród wydawnictw były lektury, które rozpalały młode głowy i długo pozostawały w pamięci, choćby „I powraca wiatr" Bukowskiego czy „Akwarium" Wiktora Suworowa. Inną kategorię stanowiły dzieła niełatwe, ale inspirujące młodzieńcze umysły do dyskusji: „Główne nurty marksizmu" Kołakowskiego czy „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie" Karla Poppera. Nieprzypadkowo Zbigniew Wieczorek studiował później filozofię na UJ, a Dariusz Jadczyszyn – historię i prawo.

I dyskusje po świt…

Prowadzono szereg dysput nad konkretnymi tekstami oraz bieżącymi tematami. Zwłaszcza lektury były bezpośrednim impulsem do wymiany myśli. Tak było chociażby z książką Stanisława Barańczaka „Uciekinier z Utopii. O poezji Zbigniewa Herberta" czy publikacjami „Alethei", czasopisma poświęconego rosyjskiej filozofii i myśli religijnej.

Ruszyły spotkania i wykłady podejmujące tematy zakazane lub mało obecne w rzeczywistości PRL. Nieoceniony był w tym Darek Jadczyszyn, który z głowy potrafił wygłosić wykład na dowolny temat. Jego pierwsze prelekcje dotyczyły interpretacji „Traktatu poetyckiego" i „Traktatu moralnego" Czesława Miłosza. Wygłosił też ponadtrzygodzinny wykład poświęcony przełomowemu rokowi 1956 w Polsce. Rozmawiano o twórczości Jacka Kaczmarskiego, Zbigniewa Herberta czy Simone Weil, pod której urokiem był Wiechu.

Pod koniec 1987 roku Beno otrzymał na urodziny magnetowid i od tego czasu poszerzono spotkania o seanse filmowe. Chociaż równie chętnie oglądano filmy klasy B, a nawet takie z końca alfabetu, nie zabrakło obrazów zakazanych lub z tzw. wąskiego rozpowszechniania. Dużym zainteresowaniem cieszył się „Kalendarz wojny" w reżyserii Tomasza Łabędzia czy „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego, a „Ćwiczenia warsztatowe" Marcelego Łozińskiego znano niemal na pamięć. Podobnie było z twórczością Stanisława Barei.

I w drugi krąg kieruje krok!…

Do grupy dołączali kolejni koledzy: Marek Migalski (Migal), Dariusz Oleszowski (Oleś), Marian Wasiczek (Wasyl), Jan Surga (Janek) i inni. Bibuła trafiała do coraz większego kręgu uczniów raciborskich szkół, zwłaszcza I i II LO, Liceum Medycznego, Mechanika, szkoły sportowej czy szkół zawodowych.



Happening „Manewry ćwiczebne". Racibórz, ul. Długa FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ciekawym zjawiskiem była wymiana publikacji z niektórymi nauczycielami I LO, świadcząca o niezwykłym obopólnym zaufaniu. Po pewnym czasie normą stało się wzajemne sprzedawanie lub pożyczanie publikacji drugiego obiegu. Chociaż, jak się okazało, SB nie miała wówczas w I LO ulokowanej agentury, korzystała z tajnych informatorów służb wojskowych. Jeden z nauczycieli historii prowadził lokal kontaktowy, w którym

oficerowie batalionu zwiadu WOP spotykali się ze swoimi informatorami. Drugi, o pseudonimie „Mały", choć należał do najwyższych, donosił na uczniów, w tym na Bena Benczewa.

Mimo to w szkole kwitł kolportaż, a poza jej murami szybko nawiązano kontakt z dawnymi członkami Solidarności Oświaty. Odwiedzano nauczycielki, a ich mieszkania stawały się naturalnymi punktami wymiany i przekazywania nielegalnych materiałów.



Happening „Manewry ćwiczebne". Racibórz, ul. Długa FOT. ARCHIWUM AUTORA

A mury runą…

Widocznym znakiem aktywności były akcje ulotkowe i napisy na murach. Wymieńmy te najważniejsze. Niektórzy mieli takie akcje za sobą już od 1982 roku. Tak, tak... trudno uwierzyć. Liczne druki ulotne pojawiły się wraz z nawiązywaniem konspiracyjnych kontaktów. Jeszcze w lutym 1985 roku Beno ze Zbyszkiem rozklejali wraz z krakowskimi studentami wezwania do udziału w 15-minutowym strajku 28 lutego 1985 roku, do którego wzywała podziemna Solidarność.

Jedną z największych akcji ulotkowych w tamtym czasie przeprowadzono w Raciborzu 12 października 1985 roku, w przeddzień tzw. wyborów do Sejmu PRL. Ulotki wzywające do bojkotu wyborów nadeszły z Krakowa. Były to wydrukowane przez pismo „Mała Polska" płachty z kilkoma rodzajami ulotek. Młodzież wystawiła tylko dwie dwójki, które w wyznaczonych dzielnicach przystąpiły do rozklejania.

Kolejne rocznice i wydarzenia również nie pozostawały bez echa. Ulotki sypały się z okien lub pojawiały się w mieście przed wspomnianymi wyborami 13 października 1985 roku oraz przed referendum w listopadzie 1987 roku. Spektakularnie udała się akcja ulotkowa w listopadzie 1988 roku, związana z ogłoszeniem powstania GMN oraz rozrzuceniem ulotek przypominających o 70. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

Niebezpieczną akcję przeprowadzono na dachu wieżowca przy ul. Słowackiego w Raciborzu. Widniał na nim, przytwierdzony do metalowego stelaża, olbrzymi propagandowy napis „SOCJALIZM". Był tak duży, że można go było dostrzec nawet z odległych części miasta. Młodzież namalowała na nim nazwę zakazanego związku – „SOLIDARNOŚĆ".

Kontakty

Oprócz bardzo ważnych kontaktów ze strukturami studenckimi UJ pojawiły się kolejne: z Międzyszkolnym Komitetem Oporu z Wrocławia za pośrednictwem „Szeryfa", Sławka Sobieszaka, oraz z wydawnictwem „Wokół Nas" z Gliwic za pośrednictwem Rafała Budnika. W Katowicach utrzymywano kontakt z Przemkiem Miśkiewiczem oraz z Solidarnością Walczącą za pośrednictwem Marka Żelaznego. Dzięki poligrafii SW wydrukowano ulotki o powstaniu GMN oraz nr 5 pisemka „Tęcza". W Opolu korzystano z kontaktów Marcina Kaczyńskiego oraz Krzyśka Galińskiego z Międzymiastówki Anarchistycznej.

Akcje

Pierwszą jawną inicjatywą była pikieta sklepu monopolowego przy ulicy Opawskiej w Raciborzu. Inicjatorem i ochotnikiem zarazem był Zbigniew Wieczorek, który 22 sierpnia 1986 roku stanął z transparentem: „Sierpień miesiącem trzeźwości. Solidarni w Otrzeźwieniu". Przed sklepem uformowała się już kolejka, bo o godzinie 13 miała rozpocząć się sprzedaż alkoholu. Koledzy ubezpieczali akcję: Pyziu robił dokumentujące wydarzenie zdjęcia, a Beno obserwował sytuację. Po niezwykle szybkiej reakcji milicji Zbyszek został zatrzymany wraz z anonimowym mężczyzną, który stanął w jego obronie. Po przesłuchaniu i podpisaniu zeznań licealista został zwolniony.

Podczas V Pielgrzymki Duszpasterstwa Świata Pracy w Częstochowie, 19 września 1987 roku, zatrzymano przy wejściu na Jasną Górę Bena Benczewa, który miał w plecaku wydawnictwa drugoobiegowe. Podjął próbę ucieczki, jednak został dogoniony, przewrócony, a następnie osadzony

w celi komendy przy ówczesnej ulicy Kilińskiego. Kolejnego dnia został ukarany przez kolegium ds. wykroczeń. Koledzy Dariusz Jadczyszyn i Adam Przybysławski, którzy z nim wówczas byli, po spisaniu personaliów zostali puszczeni wolno.

Sytuacja ta stała się impulsem, by z jednej strony pozyskać pieniądze na grzywnę, a z drugiej – nawiązać kontakty w Warszawie. Do stolicy pojechali Beno i Wiechu, którzy starali się dotrzeć do kogoś z podziemia. Ostatecznie udało się spotkać z legendą opozycji, Janem Józefem Lipskim, który pomógł młodym raciborzanom. Po tej wpadce SB założyła licealiście sprawę operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Kolporter". Istotna była także wizyta Darka i Bena 19 marca 1988 roku u Jacka Kuronia, u którego akurat przebywał Michał Luty. Po jakimś czasie w Raciborzu pojawił się Andrzej Potocki, dzięki któremu nawiązano łączność ze strukturami z Górnego Śląska.

Najbardziej spektakularną akcją Grona było manifestacyjne wywieszenie z dachu kamienicy na rynku w Raciborzu olbrzymiego transparentu o treści „Uwolnić więźniów politycznych". Po długich i starannych przygotowaniach wybrano lokalizację i czas. Akcję przeprowadzono 1 maja 1988 roku podczas oficjalnych obchodów Święta Pracy. Milicja zatrzymała wówczas Marka Migalskiego i Tomasza Krzynowego. Zostali ukarani przez kolegium ds. wykroczeń grzywnami. Poszukano przy tym odpowiednich paragrafów, by kary nie dotyczyły bezpośrednio wydarzeń z 1 maja.

Migal został ukarany za tzw. pasożytnictwo, czyli brak zatrudnienia. W 1982 roku komuniści wprowadzili ustawę o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy. Nakładała ona obowiązek jej świadczenia i przewidywała przymusowe kierowanie do prac publicznych pod groźbą kar. Prawo to dotyczyło wyłącznie mężczyzn w wieku od 18 do 45 lat. Z kolei Krzynowego ukarano za niedopełnienie wymogów meldunkowych.

Rok 1988

Rok 1988 stanowił istotną cezurę w funkcjonowaniu GMN. Zmieniała się sytuacja polityczna, a do grupy dołączali nowi ludzie. Nowością było także to, że część liderów była już na studiach, a część pozostała w Raciborzu.

Już latem 1988 roku, po wielu dyskusjach, zdecydowano się na stworzenie struktury organizacyjnej. Beno nalegał, by zaczekać do 11 listopada i połączyć powołanie GMN ze Świętem Niepodległości. Jego upór przyniósł skutek. Rozpoczęto przygotowania, powstała ulotka poświęcona powołaniu grupy, której głównym autorem był Wiechu. Druk zlecono Solidarności Walczącej.

Dyskusje i spory były gorące. Nie wszystkim podobało się łączenie GMN z SW. Czasem łamano ustalenia. Tak było w przypadku nazwy: ustalono, że miała to być Grupa Młodzieży Niezależnej, jednak Migal w ostatniej chwili zmienił pierwsze słowo na „Grono" i w tej formie zaniósł tekst do Bogusi Leśnik, która miała maszynę do pisania i mogła przepisać manifest.

Nowych osób i obszarów działalności było na tyle dużo, że zdecydowano o powołaniu sekcji. W ramach GMN powstały podgrupy: ekologiczna, wojskowa (propagująca zastępczą służbę wojskową), artystyczna i wydawnicza. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie, choć wiele osób uczestniczyło w pracach różnych sekcji.



Happening „Dzień dziecka", Racibórz, 2 czerwca 1989 r. Beno Benczew (z lewej) i Dariusz Okeszowski FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wspomnijmy akcję „Komin", dotyczącą drogich filtrów, które zakupiono, lecz których nie zamontowano na kominie spalarni odpadów medycznych Szpitala Miejskiego w Raciborzu. Brak filtrów powodował silne zadymienie w centrum miasta i rozprzestrzenianie się szkodliwych substancji. Akcję koordynowali Dariusz Oleszowski i Zbigniew Wieczorek.

„Z wolna się kręci powielacz…"

Ambicją grup czy środowisk było w tamtym czasie wydawanie własnego pisma. Dopiero pozyskanie ramki pomogło choć częściowo zrealizować to marzenie. Ukazało się sześć numerów skromnego w formie i treści pisma „Tęcza". Najczęściej relacjonowano w nim działalność grupy. Ukazały



Happening „Dzień dziecka", Racibórz, ul. Długa, z tubą Aleksander Polowy FOT. ARCHIWUM AUTORA

się też dwa numery pisma „Nędza", artystycznego fanzinu powielanego już na ksero, którego spiritus movens był Rafał Wypiór. Z kolei ambitny pomysł wydawania czasopisma „Persona" na wyższym poziomie zatrzymał się na wstępnym etapie przygotowań.

Spytaj milicjanta, on ci prawdę powie!

Niezwykłymi wydarzeniami były dwa happeningi. Pierwszy odbył się 2 czerwca 1989 roku. Był to „Dzień Dziecka" pod hasłem „Mniej jaboli i ZOMOli, więcej żłobków i przedszkoli" – pierwsza quasimanifestacja w Raciborzu, na której oprócz dowcipnych i prześmiewczych haseł pojawiły się te najbardziej znane z dużych polskich miast, z nieodzownym „Precz z komuną!".

Drugi był jeszcze bardziej wystylizowany i imitował prawdziwe demonstracje uliczne. Happening nazwano „Manewry ćwiczebne", a odbywał się pod hasłem „Pomóż milicji, pobij się sam". Grono podzieliło się na dwie grupy. Jedna odgrywała zomowców, druga – demonstrantów. „Milicja" broniła wykonanej z kartonu makiety Komitetu Miejskiego PZPR, a protestujący mieli ją zdobyć. Starcia trwały przez chwilę. W ruch poszły papierowe pałki i świece dymne, na co odpowiedziano gradem papierowych kul imitujących kamienie. Makietę w końcu zdobyto i ku uciesze zebranych podpalono oraz zniszczono.

Ostatnim ważnym akordem był „Cichy marsz", zorganizowany 13 grudnia 1989 roku. Manifestanci udali się pod siedzibę KM PZPR w Raciborzu i zapalili znicze ku pamięci zabitych przez władzę w stanie wojennym. Nie zabrakło wówczas niesionego na czele pochodu transparentu „Precz z krwawym prezydentem!", odnoszącego się do wyboru gen. Wojciecha Jaruzelskiego na najwyższy urząd.

Wspomnijmy o jeszcze jednej inicjatywie, podjętej 11 listopada 1989 roku, gdy w Raciborzu po obchodach rocznicy rewolucji październikowej pozostawiono czerwone chorągwie. Członkowie GMN pozdejmowali je tam, gdzie było to możliwe, i po godzinie 13 zanieśli 64 sztuki do Komitetu Miejskiego PZPR. Nie było tam co prawda komu ich odebrać, lecz w końcu stróż przyjął je, mówiąc: „Kiedyś się jeszcze zapiszecie do partii i będziecie na kolanach całować te flagi". Taki był właśnie nastrój i klimat w małych miastach jeszcze pod koniec 1989 roku.

Nic się nie kończy prostym tak lub nie

Koniec lat 80. to schyłek komunizmu w Polsce. Jednak w prowincjonalnym mieście, w którym próba stworzenia struktur podziemnych po 13 grudnia 1981 roku się nie powiodła, perspektywa była zupełnie inna. Do GMN należało około 30 osób, głównie uczniów i studentów z Raciborza. Byli to m.in.: Beno Benczew, Danuta Burczyc, Grzegorz Czerniak, Lidia Golec, Dariusz Jadczyszyn, Marek Migalski, Dariusz Oleszowski, Aleksander Polowy, Adam Przybysławski, Grzegorz Sobczyk, Danuta Sokołowska, Jan Surga, Marian Wasiczek, Zbigniew Wieczorek, Tomasz Wilk i Rafał Wypiór.

Dla tej młodzieży schyłek rządów Jaruzelskiego był czasem formacyjnym, kształtującym postawy i sposób odczytywania świata. Wymiana opinii, kształtowanie poglądów na różnorodne tematy, poczucie wspólnoty i poszukiwanie celu miały swoją wartość. Może nie dokonano niczego wyjątkowego czy trwałego, jednak w warunkach atomizacji społecznej, braku nadziei i apatii, z którą mierzyła się Solidarność choćby przy odtwarzaniu komisji zakładowych, istnienie Grona Młodzieży Niezależnej było zjawiskiem ciekawym i nietuzinkowym – zarówno na tle małomiasteczkowego oportunizmu, jak i innych młodzieżowych grup opozycyjnych w kraju. Choć liderów łączyły antykomunizm i dążenie do niepodległości, ich oczekiwania często się różniły, dlatego ideowe losy uczestników potoczyły się odmiennie. ■



FOT. PAP

Okupacja hali Gwardii

TEKST | Grzegorz Majchrzak

W czerwcu 1981 roku Komitet Założycielski Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej zwrócił się do Wydziału ds. Rejestracji Związków Sądu Wojewódzkiego w Warszawie o zarejestrowanie ZZ FMO jako ogólnopolskiego związku, który miał zrzeszać funkcjonariuszy MO, a także milicyjnych emerytów i rencistów.

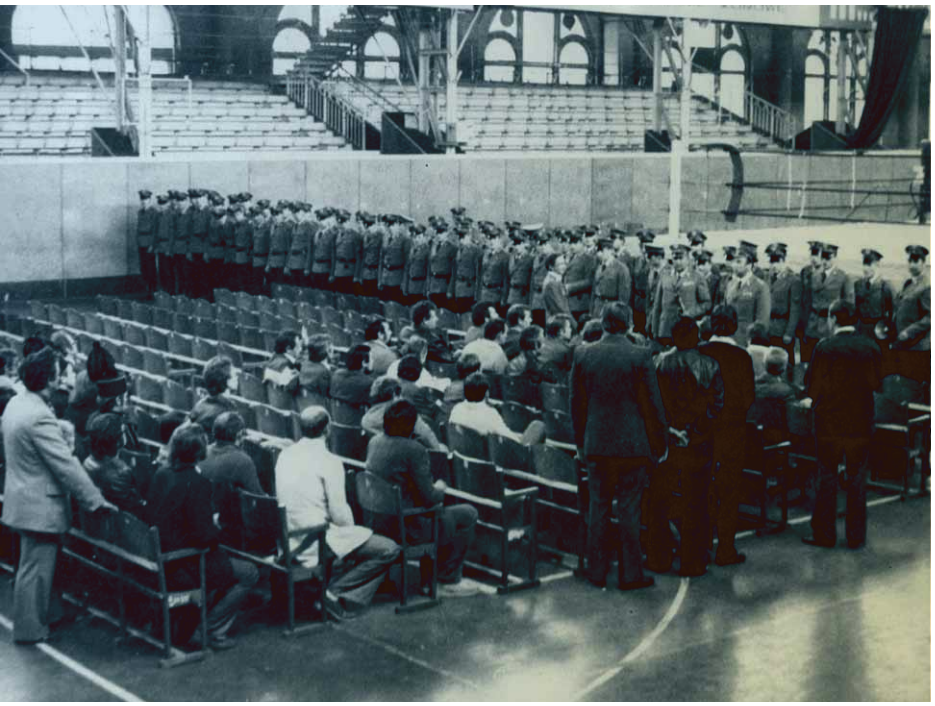
Do wniosku o rejestrację tego związku został dołączony jego statut. Wynikało z niego – jak stwierdzali sami milicyjni związkowcy – że głównymi celami tworzonego przez nich związku będą: „przestrzeganie praworządności w interesie ludu pracującego", ochrona godności i „kształtowanie właściwych postaw moralnych" funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, a także wpływanie na tworzenie właściwych warunków służby oraz dbanie o odpowiednie warunki socjalne i kulturalne milicjantów.

Sąd zawiesza postępowanie

Wydawałoby się, że powinno to otworzyć drogę do powstania (rejestracji) ZZ FMO – w teorii sąd mógł albo go zarejestrować, albo odmówić jego rejestracji. W praktyce władze wybrały jednak inne rozwiązanie. Na trzy dni przed rozprawą rejestracyjną, zaplanowaną na 25 września 1981 roku, na posiedzeniu niejawnym Sądu Wojewódzkiego w Warszawie zapadło postanowienie o jej odwołaniu, a co więcej – o zawieszeniu całego postępowania do czasu rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy pytania prawnego zgłoszonego 16 września przez Ministerstwo Sprawiedliwości. – *Czy funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej jest pracownikiem w rozumieniu art. 2 ustawy z dnia 1 lipca 1949 roku o związkach zawodowych* (...)? – brzmiało pytanie ministerstwa.

Postanowienie wydał jednoosobowo sędzia Zdzisław Kościelniak. Ten sam, który w październiku 1980 roku bezprawnie wprowadził poprawki do statutu NSZZ „Solidarność", co doprowadziło do tzw. kryzysu rejestracyj-

nego. Tym razem również doszło do kryzysu, jednak zdecydowanie krótszego i mniej znanego. Milicyjni związkowcy w dniu, w którym zawieszono rejestrację ZZ FMO, wydali komunikat. – *W naszym odczuciu świadomie podjęto decyzję mającą na celu niedopuszczenie do rejestracji naszego Związku. Nie widzimy różnicy pomiędzy mianowaniem funkcjonariusza MO a mianowaniem prokuratora, sędziego czy dyrektora, którzy, chociaż mianowani na swe stanowiska, zostali uznani za pracowników i posiadają swoje związki zawodowe* – stwierdzili. – *W tej sytuacji uznaliśmy za stosowne złożyć zażalenie na wymienione postanowienie i zdecydowanie zaprotestować przeciwko dyskryminacji naszej grupy zawodowej poprzez podjęcie akcji protestacyjnej polegającej na przebywaniu w hali Gwardii do czasu uznania naszych postulatów* – dodali.



FOT. NSZZPPL

Jednocześnie zdecydowali, że Prezydium ZZ FMO wraz z rozpoczęciem wspomnianego protestu przekształci się w Komitet Protestacyjny. Komitet sformułował cztery żądania: 1) nierepresjonowania uczestników akcji protestacyjnej, 2) przywrócenia do służby w Milicji Obywatelskiej osób zwolnionych za działalność w ZZ FMO, 3) udostępnienia im pomieszczeń i resortowych środków łączności, 4) wyznaczenia stałego przedstawiciela MSW do rozmów z Komitetem Założycielskim ZZ FMO.

Milicjanci zajmują halę Gwardii

Jak wyglądał sam protest? Otóż po zakończeniu posiedzenia sądu zgromadzeni na nim funkcjonariusze zostali zaproszeni przez Ireneusza Sierańskiego do Ogrodu Saskiego, rzekomo w celu przedyskutowania tam „interesujących ich problemów" (w tym decyzji sądu). Rzekomo, gdyż miejscem, do którego rzeczywiście mieli się udać milicyjni związkowcy, była hala Gwardii, znajdująca się po drodze z sądu do wspomnianego ogrodu. O tym, że ich związek nie zostanie zarejestrowany, dowiedzieli się oni dzień wcześniej od reprezentującego ich mecenasa Stanisława Szczuki.

W efekcie 25 września około godz. 9.30 kilkadziesiąt osób (60–70, w tym, według uczestnika tego protestu i funkcjonariusza MO Wiktora Mikusińskiego, 39 funkcjonariuszy) weszło do hali Gwardii i oświadczyło jej kierownikowi, że zajmuje jej pomieszczenia na czas nieokreślony. Poinformowany o tym sekretarz klubu Gwardia Warszawa przyjechał na miejsce i zażądał od nich – niezwłocznego opuszczenia pomieszczeń hali przygotowywanej do imprezy sportowej – czyli meczu bokserskiego I ligi. Oczywiście bezskutecznie – w odpowiedzi, jak potem twierdził, usłyszał, że hala Gwardii będzie okupowana do chwili przyjazdu przedstawicieli resortu spraw wewnętrznych. Nie wpuszczano do niej – przynajmniej początkowo – przybywających tam osób, m.in. sportowców i trenerów.

– *Po dojściu do drzwi stwierdziliśmy, że pod halą znajduje się kilkuosobowa grupa mężczyzn z przepaskami na rękawach, którzy nie wpuszczają nikogo do środka. Zapytaliśmy, co się dzieje i kim oni są. Powiedzieli, że nikogo do wewnątrz nie wpuszczają, gdyż wewnątrz zorganizowany jest strajk okupacyjny* – opisywał później przesłuchiwany w ramach prowadzonego śledztwa czołowy wówczas polski pięściarz Grzegorz Skrzecz, który w odpowiedzi miał stwierdzić, że nic to ich nie obchodzi i że wraz z bratem muszą się przygotować do ważnego meczu. Jako że obaj byli znanymi sportowcami, zostali rozpoznani przez protestujących milicjantów i wpuszczeni do hali. – *Po wejściu do środka zobaczyłem wewnątrz kilkadziesiąt osób. Byli to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Widziałem dwóch mężczyzn w galowych górniczych mundurach oraz jednego mężczyznę w mundurze MO w stopniu podporucznika* – zeznawał dalej.

Protestujący wywiesili transparenty wewnątrz i na zewnątrz hali Gwardii, m.in. z hasłem „Żądamy zarejestrowania ZZ FMO". Sierański odczytał komunikat o powstaniu Komitetu Pro-

testacyjnego, a także stwierdził, że okupację zorganizowano w związku z niedopuszczeniem do rejestracji milicyjnego związku – Będzie walczył zarówno o socjalizm, jak i o Polskę – zadeklarował również w imieniu swoim i kolegów związkowców, odnosząc się do ZZ FMO.

Ostrożne wsparcie Solidarności

Do protestujących milicjantów przybył zastępca przewodniczącego Zarządu Regionu (ZR) Mazowsze NSZZ „Solidarność" Seweryn Jaworski. Nie został jednak z nimi w hali Gwardii, lecz udał się z ich przedstawicielami – Mirosławem Basiewiczem oraz Krzysztofem Florczykowskim – do siedziby Episkopatu Polski przy ul. Miodowej, aby uzyskać wsparcie kościelnych hierarchów dla milicyjnych związkowców represjonowanych (wyrzucanych z pracy) przez władze resortu spraw wewnętrznych, a także dla tworzonego przez nich związku.

Nie oznaczało to jednak otwartego wsparcia mazowieckiej Solidarności dla protestujących działaczy ZZ FMO – z powodu braku oficjalnego stanowiska władz regionu powstrzymano związkowców z kilku stołecznych zakładów pracy, m.in. z Huty „Warszawa", przed szerszym włączeniem się w milicyjny protest.

Trzy godziny okupacji

Protest nie trwał długo. Około godz. 11.45 pod halę Gwardii przybyła grupa interwencyjna Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej pod dowództwem zastępcy komendanta stołecznego MO ds. Milicji Obywatelskiej i wiceprezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej Henryka Celaka. Co ciekawe, funkcjonariusze ci byli w mundurach wyjściowych, bez pałek oraz sprzętu ochronnego. Celak trzykrotnie wezwał okupujących do opuszczenia hali. Ci zresztą nie bardzo mieli wyjście, gdyż obecni w hali bokserzy Gwardii Warszawa uniemożliwili im zablokowanie drzwi wejściowych. Po prostu grzecznie, ale stanowczo odciągnęli protestujących od drzwi... Było to zresztą tym łatwiejsze, że w hali panował spory chaos. Ponownie warto sięgnąć do zeznań Grzegorza Skrzecza. – *w hali znajdowało się około 70 osób, które zajęły miejsca siedzące dookoła ringu* (...). *Przy drzwiach panowało ogólne zamieszanie. Jakieś kobiety wychodziły z hali, mówiąc, że idą po jedzenie. Inne znów wchodziły* – relacjonował.



FOT. NSZZPPL

O atmosferze w hali Gwardii świadczy również zeznanie Pawła Skrzecza, który podczas okazania tablic poglądowych rozpoznał na zdjęciach m.in. Sierańskiego i zeznał, że ten przez dłuższą chwilę rozmawiał z nim oraz jego bratem „na tematy sportowe". Pięściarzom pozwolono nawet przeprowadzić trening.

Okupacja zakończyła się po około trzech godzinach – najpierw halę opuścili przybyli tam działacze NSZZ „Solidarność" i dziennikarze, a następnie, po około kwadransie, pozostali uczestnicy tego krótkiego protestu. Wszystko odbyło się spokojnie, bez użycia siły. Działacze ZZ FMO udali się do siedziby regionu Mazowsze. Tam zredagowano list do delegatów na trwający właśnie I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" – jego druga tura rozpoczynała się dzień później – 26 września. W liście tym, sygnowanym przez Sierańskiego, pisano m.in. o celach tworzonego związku, jego planowanej roli i relacjach z innymi związkami zawodowymi.

Tłumaczono również przyczyny tak szybkiego zakończenia protestu – okupacji hali Gwardii. Były nimi: „nieunormowana, napięta sytuacja polityczna" w kraju, chęć uniknięcia „wewnętrznego dramatu" u ich kolegów, którzy na rozkaz przełożonych mieliby ich usuwać siłą, niechęć do narażania wspierających ich działaczy Solidarności obecnych w okupowanym budynku, a także chęć „uniknięcia zakłócenia toku obrad" drugiej tury I KZD poprzez posądzenie Solidarności o rzekome inspirowanie ich akcji protestacyjnej. Z kolei przewodniczący ZR Mazowsze Zbigniew Bujak zobowiązał się przedstawić kwestię ZZ FMO na forum zjazdu. ■

Dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Halina Pierożak

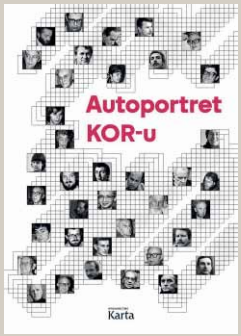
„Z nadzieją na przetrwanie”

Książka s. Haliny Pierożak „Z nadzieją na przetrwanie” to poruszające świadectwo losów polskich Sybiraków deportowanych w latach 1940–1941 w głąb Związku Sowieckiego. Publikacja przedstawia dramatyczne doświadczenia zesłańców, ukazane przez pryzmat dwudziestu trzech relacji osób, które jako dzieci przeżyły aresztowania, transport w bydlęcych wagonach oraz katorżniczą pracę w łagrach.

Opowieści te prowadzą czytelnika przez kolejne etapy ich życia – od tragicznych doświadczeń zesłania, przez formowanie Armii Andersa i ewakuację na Bliski Wschód, aż po powojenne losy na emigracji, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii i Kanadzie. Szczególną wartość publikacji stanowią unikatowe archiwalne fotografie rodzinne, które dopełniają i wzbogacają przedstawione świadectwa.

Autorka nie ogranicza się jednak do ukazania cierpienia i tragizmu syberyjskiego zesłania. W centrum każdej relacji stawia człowieka oraz jego wewnętrzną siłę, dzięki której możliwe było przetrwanie w skrajnie nieludzkich warunkach. Podkreśla znaczenie głębokiej wiary, niezłomności ducha i solidarności, które pomagały zachować nadzieję, ocalić poczucie wspólnoty i ochronić ludzką godność pomimo niewyobrażalnie trudnych doświadczeń. **KZ**

Novae Res, Gdynia 2026



Zbigniew Gluza

„Autoportret KOR-u”

Pięćdziesiąta rocznica powstania Komitetu Obrony Robotników to ważny moment, by wrócić do jego historii bez uproszczeń i gotowych ocen. Wśród wielu publikacji dotyczących Komitetu „Autoportret KOR-u”, podany do druku przez Zbigniewa Gluzę, wyróżnia się już samym tytułem: nie jest opowieścią o KOR-ze z dzisiejszej perspektywy, lecz głosem ludzi, którzy go tworzyli i wspierali.

Chronologicznie ułożone cytaty z ówczesnych listów, dzienników, wypowiedzi i publikacji prasowych oraz książkowych mają szczególną wartość dokumentalną. Przenoszą czytelnika w realia PRL, pozostawiając mu ocenę wydarzeń i ich bohaterów – to znakomity sposób na obiektywizm.

Wśród wielu przywołanych postaci są m.in. Jacek Kuroń, Ewa Milewicz, Jan Józef Lipski, Mirosław Chojecki, Adam Michnik, Antoni Macierewicz, Jan Lityński, Jan Olszewski, Henryk Wujec, Piotr Naimski, Vaclav Havel, Bogdan Borusewicz, Zbigniew Romaszewski, Stefan Kisielewski, Jan Krzysztof Kelus i Edward Lipiński. Ich świadectwa przypominają o odwadze, poświęceniu dla dobra wspólnego oraz represjach komunistycznej władzy. Niełatwo pisać o niedawnej historii politycznej; tym cenniejsza jest rzetelna publikacja, która oddaje głos samym uczestnikom. Wydana na pięćdziesięciolecie KOR-u, jest przykładem wolnego słowa – przeciwwagi dla zakłamania i propagandy – stanowi godne upamiętnienie ludzi, którzy walczyli z cenzurą działając w imię solidarności, wolności i sprawiedliwości. **PM**

Fundacja Ośrodka KARTA, Warszawa 2026



FOT. UDSKIOR (4)

DZIEDZICTWO KOR OCZAMI MŁODYCH

O ODWADZE, SOLIDARNOŚCI I ZAANGAŻOWANIU

Czy odwaga i solidarność sprzed 50 lat mogą być ważną lekcją dla młodych ludzi dzisiaj? Odpowiedzi na to pytanie szukali uczestnicy konferencji „Młodzi pytają – dziedzictwo KOR", która odbyła się w Warszawskim Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń. Spotkanie, zorganizowane w ramach obchodów 50. rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotników, było przede wszystkim przestrzenią rozmowy młodzieży ze świadkami i badaczami najnowszej historii Polski.

Szef UdSKiOR Lech Parell podkreślił, że spotkanie powinno być dla młodzieży przede wszystkim inspiracją do refleksji nad własnym zaangażowaniem.
– *Chciałbym, żebyście nie utonęli w powodzi faktów, ale wynieśli z tego spotkania przede wszystkim przekonanie, że warto się angażować, że warto być ideowym i działać dla większej sprawy* – mówił. Opowiadając o swoim zaangażowaniu w działalność opozycyjną, zaznaczył, że doświadczenie to miało wpływ na całe jego późniejsze życie i sposób patrzenia na sprawy publiczne.

Zwracając się do młodych uczestników, zachęcał ich, by pamięć o KOR była punktem wyjścia do myślenia o współczesności. *Warto myśleć o większych sprawach, o sprawach publicznych i o drugim człowieku, a nie tylko o sobie* – podkreślił. Zachęcał także, by historię KOR postrzegać nie tylko jako zbiór dat i wydarzeń, ale przede wszystkim jako historię konkretnych ludzi i ich wyborów oraz zastanawiać się, co z ich postaw może być ważne także dzisiaj.

Najważniejszym punktem spotkania był panel „KOR – doświadczenie odwagi i solidarności czy aktualne współcześnie?", w którym uczniowie XXVII Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Czackiego w Warszawie wcielili się w rolę moderatorów. Pytania kierowali do Wojciecha Onyszkiewicza, Adama Michnika, prof. Andrzeja Friszke, Seweryna Blumsztajna i Grzegorza Boguty, rozmawiając o ich doświadczeniach związanych z działalnością KOR, motywacjach podejmowanych wówczas decyzji oraz znaczeniu tamtych wydarzeń z perspektywy współczesnej młodzieży.





